# POLSKIE WOLNOŚCI

Piotr Wójcik

2

NARODOWE CENTRUM KULTURY
PICTURE DOC

Joanna Talewicz-Kwiatkowska

# *Polska, czyli wolność*

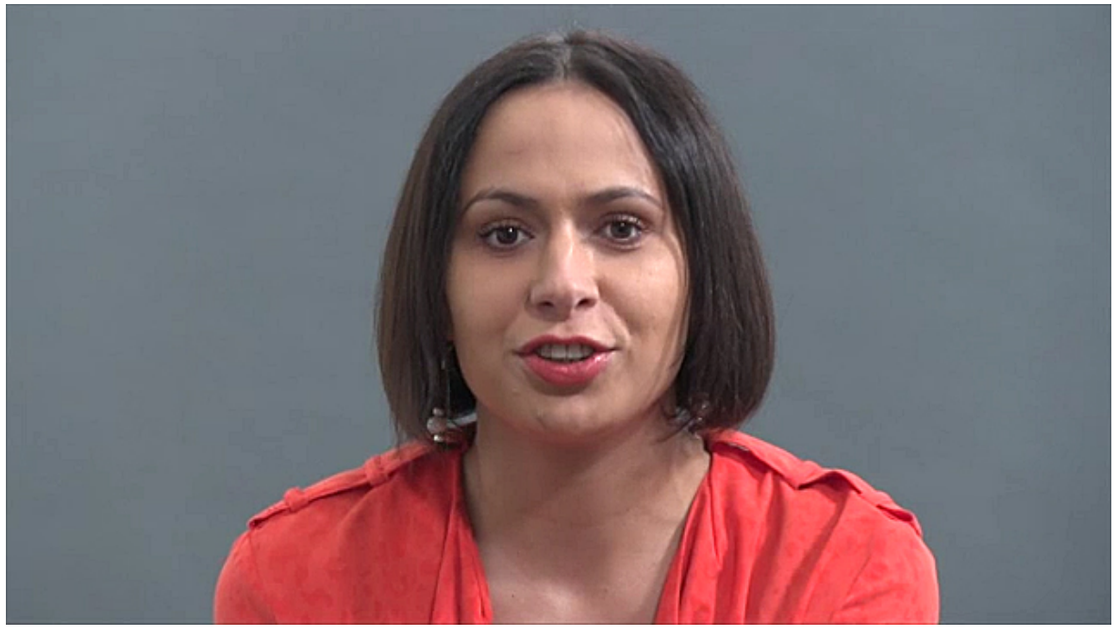

Rok 1989 nie kojarzy mi się z przełomem. Miałam 9 lat i niewiele utkwiło mi w pamięci.

Kojarzę długie kolejki, puste półki w sklepach oraz Pewex, który postrzegałam jako szczyt luksusu. No i oczywiście niezapomniany smak gumy Donald oraz pralkę Franię w mieszkaniu mojej babci.

Nie pamiętam wydarzeń związanych z tym rokiem. Ani rozmów w domu na ich temat.

Dziś jako osoba dorosła mam świadomość tego, jak wiele się zmieniło. Np. kwestia mniejszości - w czasach PRL oficjalnie ich nie było. Nie było też organizacji mniejszościowych, ani instytucji, które wspierałyby te społeczności. A dziś? Inna jest polityka państwa, są organizacje, instytucje, które działają na rzecz mniejszości. A zatem grupy odrębne kulturowo mogą żyć zgodnie z własnymi wartościami i rozwijać swoje kulturowe tożsamości. Niestety, często tylko teoretycznie, ponieważ mimo potężnego postępu w wielu obszarach życia w sensie mentalnym niewiele się zmieniło. Wciąż dominujące jest przekonanie, że skoro jesteśmy w Polsce, to powinniśmy się zachowywać zgodnie z zasadami tu obowiązującymi. Tylko kto je ustala? Co z tymi, którzy żyją inaczej? Nie mają do tego prawa? Przecież mieszkamy w wolnym, demokratycznym i nowoczesnym kraju. Co z szacunkiem dla odmienności, akceptacją, zrozumieniem? Dlaczego inność i różnorodność tak często są kojarzone z zagrożeniem dla polskości? Nie potrafię jednoznacznie odpowiedzieć na to pytanie, ale jestem przekonana, że to jeden z czynników, które wpływają na społeczny odbiór słów takich jak patriotyzm czy nacjonalizm. Odbiór jakże często budzący pejoratywne, albo nawet

negatywne emocje. Bo kojarzący się z agresją, a nawet przemocą, z wyrzucaniem poza nawias polskości tych, którzy są inni.

Jak w takim razie, będąc mniejszością, można czuć się wolnym w naszym kraju i czy w ogóle jest to możliwe? Ja czuję się wolna. Czuję się wolnym człowiekiem i piszę te słowa z pełną świadomością ograniczeń determinujących moje życie. Ale to ja podjęłam decyzję o tym, że obecnie mieszkam w Polsce. To mój wybór i ja ponoszę tego konsekwencje. Nikt nie jest w stanie niczego mi narzucić, mam prawo do decydowania o moim życiu, o mojej przyszłości. I to jest właśnie moja wolność.

Joanna Talewicz-Kwiatkowska
Romka

**Fotografie i wywiady: Piotr Wójcik**
**współpraca:**
**Justyna Pobiedzińska**
**Monika Proba**

Mikołaj **Wawrzeniuk**
Białorusin

## Nie wisi już nad nami fatum

Mam 48 lat, jestem dziennikarzem terenowego oddziału telewizji – a raczej byłem, bo nas pozwalniali i pracuję w białoruskim Radiu Racja, chociaż robię też programy telewizyjne, reportaże. Urodziłem się i wychowałem na wsi koło Hajnówki, w województwie podlaskim, w typowej rodzinie chłopskiej, nie przelewało się nam. Polskiego zacząłem się uczyć dopiero w szkole. Od drugiej klasy uczyłem się białoruskiego jako dodatkowego przedmiotu na klasycznej literaturze białoruskiej. Ten świat był mi bardzo bliski, bo słyszałem o nim od dziadków: opowiadali o czasach przed elektryfikacją, kiedy żęli zboże sierpami. Lubiłem czytać po białorusku te opowieści, które znałem ze

wspomnień najbliższych. Jako kilkunastoletni chłopak zacząłem pisać wiersze po białorusku, zapisałem się do Białoruskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego. Do liceum już chodziłem polskiego, choć było i białoruskie w Hajnówce (właściwie różniły się tylko tym, że był w nim dodatkowy język). Szybko zrozumiałem, że moja wolność w dużym stopniu zależy ode mnie, od tego, co mam w głowie.
W 1989 miałem 23 lata, byłem studentem historii – najbardziej rozpolitykowanego wydziału na Uniwersytecie Warszawskim. Siłą rzeczy znalazłem się w centrum wydarzeń, razem z kolegami strajkowaliśmy a to o legalizację NZS-u, a to w obronie akademika czy innych spraw. Koledzy z NZS-u pomagali nam w stworzeniu samodzielnego Białoruskiego Zrzeszenia Studentów. W Instytucie Historii też się odbywały narady. Pierwsza struktura przy „Solidarności", dotycząca mniejszości narodowych, która powstała z inicjatywy Jacka Kuronia, też się zbierała u nas. Wybory w 1989 roku były pierwszymi, w których brałem udział świadomie i z pewnym wysiłkiem, bo musiałem przyjechać z Warszawy do miejsca zameldowania i tam zagłosować.

Z Polski jestem zadowolony. Pewnie, chciałbym, żeby było lepiej, czasem oczywiście narzekam – jak wszyscy Polacy – ale wiem, że mogłoby być znacznie gorzej. Polska nie jest krajem idealnym, mnie się tu jednak mieszka dobrze. Pierwszym językiem moich dzieci jest białoruski, zawsze tak rozmawialiśmy, nigdy ich nie zmuszałem. Syn i córka są już studentami, uczą się w dobrych szkołach.
Chciałbym nie musieć tłumaczyć tak często Polakom, że od zawsze byliśmy sąsiadami i dlaczego wybrałem taką, a nie inną świadomość. Chciałbym, żeby nie trzeba było przebijać muru niewiedzy. Chciałbym, żeby ludzie wyedukowani, oczytani i kulturalni, bo nie mówię tu o agresywnych, faszyzujących grupach, które się zdarzają wszędzie, zwłaszcza tu, na Białostocczyźnie – nie myśleli o Białorusinach jak o kimś, kto ładnie śpiewa i tańczy, ewentualnie kto zorganizuje fajny festyn, tylko jak o równoprawnych współgospodarzach tej ziemi realizujących się tutaj. Ja się realizuję, ale zawsze może być lepiej. Kiedyś lekarz obsztorcował moją mamę w szpitalu, gdy mówiła do mojego brata po białorusku. Oprócz tego przykrego przypadku to ja nigdy nie miałem problemów, mówiąc po białorusku czy to w pociągu Białystok – Warszawa, czy w autobusie z dziećmi. Moje dzieci są pozbawione tego irracjonalnego strachu, że nie należy się ujawniać z tym, że się jest Białorusinem. Wiedza ich rówieśników Polaków jest duża. Koleżanka mojej córki

pojechała na studia do Londynu, ale gdy słyszy, jak moja córka rozmawia z kimś po białorusku, to sobie notuje słówka i się uczy. To jest zmiana mentalności i to jest fantastyczne.
Wolność to też możliwość czytania, pisania tego, co się chce – oczywiście tak, aby nie krzywdzić innych. Bo moja wolność nie może przeszkadzać nikomu innemu. Cieszę się, że moje dzieci wybrały dobre studia. Podróżują, są wolne, rozmawiam z nimi w moim języku, języku moich rodziców. I nie wisi nad nami jakieś fatum, jakieś zagrożenie.

Lilla **Świerblewska**
Tatarka

## Wolność trzeba chronić

Mam 47 lat, w 1989 roku miałam 22.
Moi rodzice urodzili się w Nowogródku, obecnie to Białoruś, wtedy Polska. W 1946 roku musieli opuścić swoje domy i pojechali w nieznane, w zachodnią część Polski. Osiedlili się na wsi (uznali, że w mieście nie wykarmią dzieci), w Rybocicach, pod samą granicą obok przejścia w Świecku. Mama często opowiadała tę podróż – dwa tygodnie w wagonach towarowych. Dziadkowie zabrali cały swój dobytek: krowę i kilka tobołków rzeczy. Z nimi pojechało kilka rodzin tatarskich, w sumie chyba cztery, pomagali sobie oczywiście w urządzaniu się w nowej rzeczywistości. Mama wyszła za mąż w wieku 21 lat za mojego tatę Bronisława

Bogdanowicza, przeprowadzili się do Gorzowa. Zamieszkali na Górkach Tatarskich, gdzie było dużo Tatarów; zajmowali się uprawą warzyw. Jako pierwsi wiosną sprzedawali rzodkiewkę i ta rzodkiewka pomagała nam w utrzymaniu.
W PRL-u trudno mi było się odnaleźć. Ukrywałam, że jestem Tatarką. Rówieśnicy pytali, dlaczego nie chodzę na religię – zawsze milczałam. Zbyt mało wiedziałam o swojej religii, wstydziłam się tego, nie chciałam być wytykana palcami. Mojego brata przezywano „chińczyk", bo miał skośne oczy. Nie doznawałam jednak przykrości ze strony rówieśników w klasie. Kiedy zaczęłam szukać swojej drogi i dowiadywać się o religii, przyjechałam do Białegostoku, spotykałam się z młodzieżą tatarską i studentami z krajów arabskich. I nauczyłam się śmiało mówić, że jestem Tatarką, nie ukrywałam już tego.
W 1989 roku trudno nam było uwierzyć, że już nie będzie socjalizmu, że będziemy wolni. Że będę mogła śmiało mówić, że jestem muzułmanką i wygłaszać swoje zdanie. I nie będę się zastanawiała nad uczestnictwem w wyborach, bo będą miały znaczenie. Dla wszystkich mniejszości był to moment utożsamiania się ze swoją narodowością, ze swoim pochodzeniem etnicznym.
Kiedy media zrównują islam z terroryzmem, dla mnie jako muzułmanki jest to bardzo bolesne. Chce mi się wtedy krzyczeć, że to nieprawda. Nie można tak mówić o wszystkich muzułmanach, o islamie. Bo terroryści to źli ludzie, którzy prawdopodobnie zostali wychowani w złej tradycji – nie popieram tego, co robią.
Boli mnie sytuacja Tatarów krymskich: utracili wolność i kolejne pokolenie musi uciekać, albo się poddać i żyć w tej przygnębiającej rzeczywistości. To uświadamia, że wolność nie jest dana na zawsze, że trzeba ją chronić, żeby jej nie stracić.
Czuję się wolna, mam paszport w szufladzie. W Unii Europejskiej można podróżować nawet nie wiedząc, w jakim się jest kraju.

**Ngo** Van Tuong
Wietnamczyk

## Jestem bogaty w wolność

Mam 50 lat. W 1989 miałem 25 lat i mieszkałem w Szczecinie. Pochodzę z miasta portowego Hajfong. W 1983 roku zostałem stypendystą rządu PRL-u. Rok później rozpocząłem naukę na Wydziale Okrętowym w Szczecinie – ten kierunek został narzucony mi przez Ministerstwo Szkolnictwa Wyższego w Wietnamie.

W trakcie studiów widzieliśmy różne akcje studenckie i protesty. Te strajki i demonstracje otwierały nam oczy na wolność i demokrację. W Wietnamie nie zwracaliśmy uwagi ani na kwestię wolności słowa, ani na demokrację, pluralizm i tym podobne.

W 1989 roku zmianę ustroju powitaliśmy bardzo radośnie,

nie obawialiśmy się niczego. Nie miałem dylematu – zostać tu, czy wyjechać do Wietnamu. Dla mnie to naturalne, że będąc w takim kraju, wolnym, demokratycznym i ze zmianami, które dotyczyły także nas, studentów wietnamskich, nie ma innego wyjścia: zostajemy tutaj, w Polsce. Prawie wszyscy studenci z naszego roku po studiach pozostali w Polsce i zaczęli nowe życie.

Jestem najmłodszy w rodzinie, mam starsze rodzeństwo, a ojciec zmarł, gdy byłem mały. Trzy lata temu spotkałem się po raz ostatni z matką. Matka chorowała, miała 88 lat. Wiedziałem o jej chorobie i chciałem jechać do Wietnamu, ale musiałem uzyskać wizę. Czekałem długo i dotarłem do Wietnamu, do matki, na kilka dni przed jej śmiercią. Zdążyłem. A ona poznała mnie. Gdy zmarła, zrozumiałem, że straciłem nie tylko ją, ale że bezpowrotnie straciłem też Wietnam, mój kraj, i moje pochodzenie. Nie mógłbym już tam wrócić. Czuję się Polakiem – mieszkam w swoim kraju, w swojej ojczyźnie. I choć nie jestem zamożny, to jestem bogaty – w wolność.

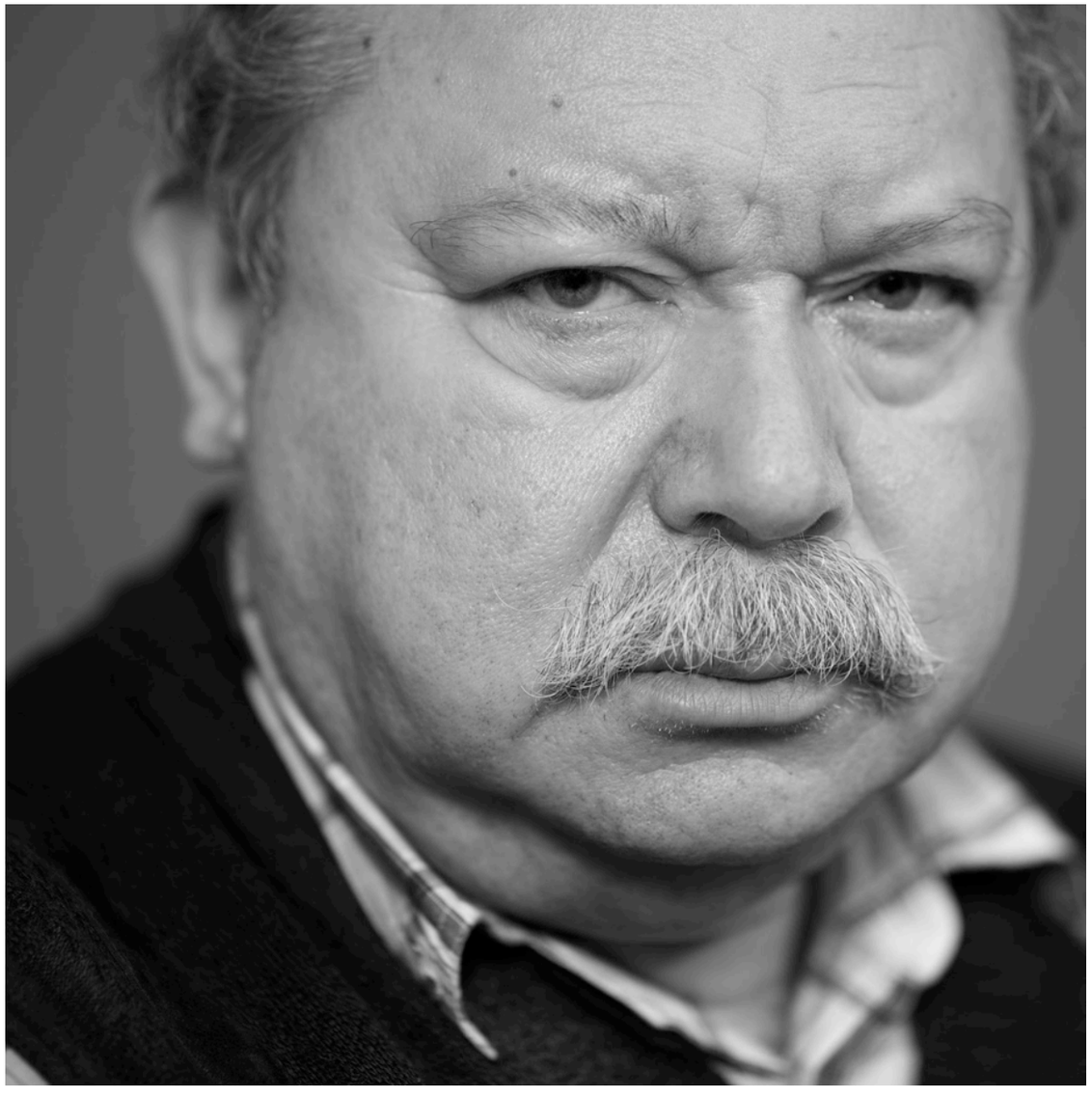

Aleksander **Miśkiewicz**
Tatar

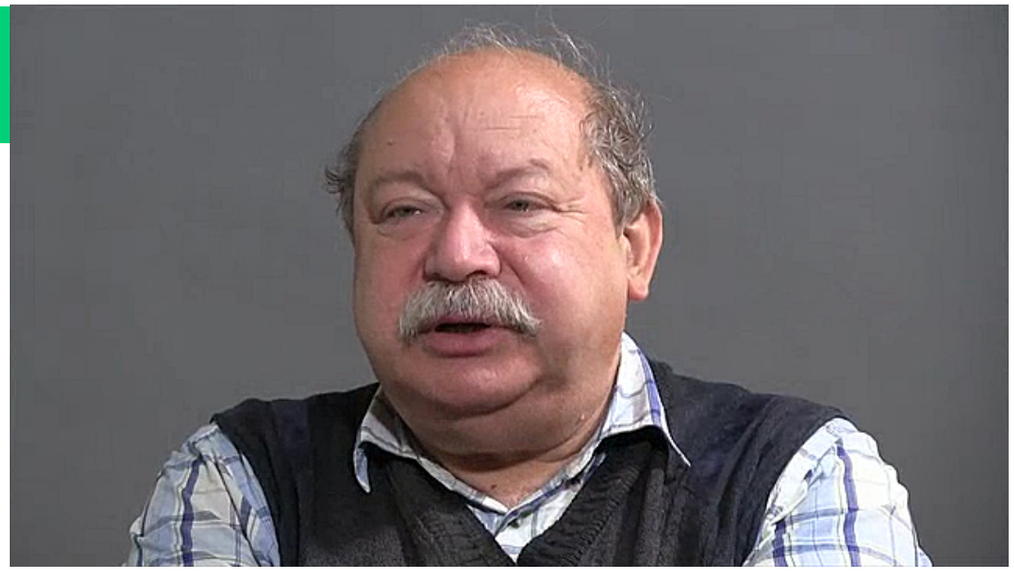

## Zawsze coś nad głową jest

W 1989 roku miałem 45 lat. Mój ojciec w latach trzydziestych przesiedział pięć lat w łagrze w Uzbekistanie, podejrzewany o chęć ucieczki do Turcji ze Związku Radzieckiego i szpiegostwo na rzecz Polski. Po wojnie był zecerem, pracował w Szczecińskich Zakładach Graficznych. W rozmowach z kolegami czasami wspomniał, że siedział pięć lat w łagrze. Kiedyś serdeczny kolega szepnął mu, żeby nigdy o tym nie mówił, bo się SB o niego pyta.

Lata siedemdziesiąte – nadzieja na zmiany. W tym czasie studiowałem historię na Uniwersytecie w Poznaniu. Miałem telefony z Urzędu do spraw Wyznań, ale raczej z troski. Po ojcu, który zmarł w 1977 roku, prowadziłem administracyjne

sprawy gminy. Maciej Konopacki, jeden z działaczy, pracował tu i padła myśl, żeby coś poświęcić Tatarom. Sokólski Ośrodek Kultury zaczął organizować wtedy Sokólskie Orienty poświęcone Tatarom polskim. Pierwsze były w 1976 roku – bardzo ciekawe spotkania, referaty. Później zamieniono to w wakacyjne studium wiedzy o Tatarach, które prowadził nieżyjący Józef Konopacki. Były też spotkania na przeciwległym krańcu Polski, w Gorzowie Wielkopolskim, które zawdzięczamy tamtejszej dyrekcji muzeum. Pierwsze poświęcone Tatarom odbyło się 6 grudnia 1980 roku, czyli w okresie napiętym.

Wrócę jeszcze do marca 1968 roku, kiedy były wystąpienia antyżydowskie. Wśród Tatarów był popłoch, że za nas też się wezmą, ale to minęło. W stanie wojennym już raczej tego strachu nie było, chodziło o to, żeby Tatarzy poparli „Solidarność" 1980-1981 – nawet myśleliśmy o kółku tatarskim w jej ramach. W 1989 roku głosowałem z mamą w Gdyni. Wyczuwało się napięcie, ciągle latał jakiś helikopter. Mama nie chciała, żebym wychodził na ulicę, bo bała się, że będą traktować nas pałkami, ale było spokojnie.

I nagle radość, zwyciężyła „Solidarność"! Dzięki temu Tatarzy mogli uruchomić ośrodek kulturalno-oświatowy, bo wcześniej nie było pozwolenia. Mogliśmy wydawać czasopisma. Teraz jest znacznie większa swoboda niż wcześniej.

Czy człowiek rzeczywiście może się czuć wolnym? Zawsze coś nad głową jest. Całkiem wolny nie chciałbym być, bo jest prawo, państwo, do którego należę, z którym się utożsamiam jako Tatar polski, jako Polak pochodzenia tatarskiego. Czuję swobodę w porównaniu z tamtym okresem.

Franciszek Witold **Grygucis**
Litwin

## Nikt nam niczego nie zabierze

W 1989 roku miałem 37 lat, teraz mam 62. Mieszkam w Sejnach od 1982 roku. Do 1994 roku pracowałem w rolnictwie.

Z dzieciństwa pamiętam, że wszystko, co dotyczyło przeszłości, było tabu, nie mogłem się niczego dowiedzieć. Aż kiedyś znajomi rodziców podpowiedzieli mi, że jestem dzieckiem partyzanta. I wtedy zacząłem sobie wszystko kojarzyć. Odczuwałem np. różnicę w szkole, gdzie inaczej patrzono na dziecko partyzanta, inaczej na dzieci z rodzin prominentów partyjnych.

1989 rok był ciekawy, nie wiedzieliśmy, co to będzie. Były

takie osoby w zakładach, w których pracowałem – działali jako tak zwane gumowe ucho: człowiek był cały czas obserwowany. Trudno było uwierzyć, że nadchodzi kres takich działań i metod.

W czasach Polski Ludowej każda mniejszość narodowa mogła mieć swoją organizację kulturalno-społeczną. Ale władze tych organizacji były wybierane przez Służbę Bezpieczeństwa. Taka wolność pod przymusem – chcecie, to macie. Wszystkie przedstawienia i utwory teatrów, zespołów czy chórów musiały być tłumaczone na język polski i oddane SB – sprawdzano, czy nie ma tam wrogich władzy ludowej tekstów, epitetów.

To było państwo policyjne, rozkazowe.

W 1989 roku wyzwolono nas z tego jarzma, choć nikt nie wierzył, że się to kończy. Ludzie długo jeszcze byli ostrożni w tym, co mówili, bo myśleli, że lepiej nie mówić wszystkiego. Teraz już mamy świadomość i pewność, że nam nikt niczego nie zabierze. Mieszkam tu, ale jakby była taka konieczność, mogę się przemieścić w inne miejsce. W ogóle nie odczuwam strachu, że coś tam powiedziałem nie tak, bo jeśli to prawda, a nikogo nie obraża, to można mówić. Zależy tylko ode mnie, czy ja chcę o tym otwarcie mówić.

Teraz dużo się mówi o wolności, że możemy wyjeżdżać, przemieszczać się. Tylko że nie wszystkim żyje się dobrze. Zapomniano o istocie ludzkiej. Pies czy kot są bardziej chronione niż istota ludzka. Bezdomni bez dachu nad głową, bez środków do życia, niech zwracają się do jakichś organizacji pozarządowych. W tym nie ma wolności. Młodzi wyjeżdżają, państwo starzeje się – i w tym aspekcie nie jest dobrze. Wolność słowa jest, ale wszystkie instytucje, poczynając od parlamentu, przez rząd, mogłyby poświęcić więcej uwagi obywatelom.

Ingmar **Villqist**
Ślązak

## Artysta musi być sam

Mam 54 lata i nazywam się Ingmar Villqist, ale w 1989 roku nazywałem się Jarosław Świerszcz. Przed 1989 mieszkałem na Śląsku, w Chorzowie, pracowałem w Galerii Sztuki Współczesnej BWA w Katowicach, organizowałem wystawy polskich i współczesnych artystów. Dojeżdżałem do Katowic codziennie podmiejską kolejką. Pamiętam szary świat, brudne, czarne niebo, niewiarygodne tłumy na ulicach i swoje skupienie na pracy, którą traktowałem jak ucieczkę od rzeczywistości. W ten sposób zacząłem budować własną wyspę, oddzieloną od wszelkich zewnętrznych objawów polityki i innych spraw. Zajmowałem się sztuką i nią właśnie starałem się ogarnąć to zamieszanie i bałagan w głowie. Z

miernymi wówczas skutkami. Przez okno
w swoim biurze w BWA oglądałem miasto: ogromne, przemysłowe miasto europejskie, w dziwnym wówczas stanie rozwibrowania, rozedrgania, chaosu – od urbanistyczno-architektonicznego po emocjonalny. I pamiętam ten charakterystyczny moment, kiedy aleja Wojciecha Korfantego w Katowicach z dnia na dzień wypełniła się stolikami, łóżkami i kartonami. A na nich niedostępne wcześniej mięso. Było w różnych odcieniach karminu, jak z obrazu Bacona. Oczywiście, szalała wielka polityka i geopolityka, ale mnie to wszystko skumulowało się na tych brudnych kartonach z równo wyciosanymi ochłapami mięsa.
Dzień wyborów w 1989 roku też zapamiętałem. Później wszyscy nie potrafiliśmy wspólnie przeżyć tego, zrozumieć tego, co się stało, poza prostym wyrażaniem radości, że sprzeciwiliśmy się czemuś i to się udało. Ważne wydarzenia i wielkie zwycięstwa powinny być oprawione we wspólną ceremonię, tak jak pogrzeb czy ślub oprawiony w zabawę, tańce, ucztę. Klęski są chronione, tłumaczone, neutralizowane wielką wspólną żałobą, milczeniem, modlitwą.
W 1989 roku ceremonii zabrakło.
Proces tożsamościowy, który ma miejsce na Śląsku, jest trudny. Teraz bardzo, bardzo powoli zadajemy sobie pytania: co to tak naprawdę znaczy, że jestem Ślązakiem? Dlaczego tak o sobie mówię? Chcielibyśmy z przyjaciółmi zdefiniować tę naszą małą ojczyznę w kategoriach emocjonalnych, a nikt z nas polityką się nie zajmuje. Zadawanie sobie takich pytań przed 1989 rokiem było niemożliwe. Prowadziło do niewiarygodnych problemów.
Wizerunek Śląska, który kojarzy się z węglem i pracą, i siłą, był wygenerowany w czasach komunistycznych jako bezpieczna zasłona dymna, która miała pokrywać prawdziwe problemy: wyniszczenie ekologiczne, wysoką śmiertelność, nieprawdopodobne wprost zatrucie tego miejsca. Pamiętam, jak w połowie lat osiemdziesiątych około dwudziestej otwierałem okna mieszkania w centrum Chorzowa – na całe miasto z niezliczonych kominów opadała gazowa woalka niewyobrażalnego, mdławego smrodu.
Gdzie i jak w tym wszystkim znajdowały się kultura i sztuka?
Myślę, że ludziom, którzy tworzyli w tamtym czasie, należy się słowo szacunku. Zdawali sobie sprawę, że są w ikonograficznej pułapce Śląska etnograficznego: dętych orkiestr i sklepów za żółtymi firankami.
Ja i moi przyjaciele od czterech lat organizujemy konkurs na napisanie jednoaktówki w języku śląskim. Na początku myślałem, że nikt nie przyśle tekstu, a okazuje się, że

rokrocznie jesteśmy zasypywani kameralnymi tekstami dramatycznymi, które są niewiarygodnie szczere i uczciwe w podejmowaniu problemów. Autorzy opisują historie, które nigdy nie pojawiły się na łamach gazet i nie były omawiane w programach publicystycznych. W ten sposób ujawnia się część historii Śląska, która wydawała się zamknięta na cztery spusty. Dlaczego tak się dzieje, że te teksty są tak dobre? Jak się organizuje konkurs dramaturgiczny, to 90 procent tekstów to są grafomańskie bzdury, a tutaj każdy jest przejmujący. Piszą je dziennikarze, ale także ludzie po raz pierwszy chwytający za pióro – potrafię to rozpoznać. Myślę, że te teksty dlatego są uczciwe, bo wypowiadają się własnym językiem, a inspiracją jest jednostkowa pamięć, serce i wrażliwość.

Mogę odpowiadać za siebie, co to znaczy być Ślązakiem. Będąc dzieckiem, stykałem się (nie osobiście, w relacjach mojej mamy) z objawami lekceważenia. Nie wiedziałem, jakie są tego źródła. Dorastając, zacząłem rozumieć włączenie Śląska do Polski i późniejszą bezradność – co z tym zrobić? Nie w sensie mechaniki przemysłowej, gospodarczej, ekonomiki czy polityki, tylko w czysto ludzkim sensie – jak ludzie mają funkcjonować w nowej strukturze państwowej? Kiedyś pisałem jednoaktówkę o Korczaku, który opisywał bardzo ciekawie i wzruszająco psychologię dziecka adoptowanego. Jak należy z nim pracować, jak się w ogóle do tego zabrać. Ze Śląskiem tak jest, że jest takim dzieckiem adoptowanym, nie do końca ukochanym i przytulanym, które rośnie w poczuciu winy, że wcześniej było częścią Niemiec. I nosi w sobie tę winę. Na najróżniejsze sposoby stara się zdobyć pochwałę, pogłaskanie, przytulenie przez nowego rodzica. Ponosi daninę krwi, zdrowia, cierpienia.

Ale skoro już wyrasta – a rok 1989 to było jak takie zdanie matury – to zaczyna się zastanawiać, co dalej? Ile można prosić o to przytulenie, ukochanie, zrozumienie, rozmowę, wspólną wycieczkę, prezent? Albo choć żeby postać razem i pomilczeć?

Według mnie to jest poczucie rodzącej się dumy, że dane nam było przetrwać tyle dekad w żywiole komunistycznym, a później w zawierusze politycznej i zachować język śląski, swoją tożsamość, ale też i siłę. Ona nie polega na tym, że górnicy pojadą i zrobią awanturę pod sejmem – bo to wszyscy mogą zrobić. Siła polega na tym, że przetrwaliśmy, zachowaliśmy naszą kulturę, że niezwykle się dynamizuje przestrzeń artystyczna na Śląsku. W widoczny sposób ludzie różnych stanów i zawodów okazują nam szacunek w Polsce i na zewnątrz. „Ty jesteś Ślązakiem, masz coś swojego, utożsamiasz

się z czymś ważnym – może masz z tego powodu przesrane, ale doceniam to". Nie daliśmy się też sprowokować na sto sposobów, tylko bardzo cierpliwie, konsekwentnie i poza polityką dążymy do swego – do przestrzeni emocjonalnej, która kiedyś ukryta, pochowana na Śląsku, pełna wstydu, teraz się ujawniła. Jest widoczna w języku, na ulicach, w sklepach, tramwajach, urzędach – to było kiedyś nie do pomyślenia, żeby wejść do urzędu czy sklepu i załatwiać sprawę w języku śląskim. A teraz to jest oczywistość, bo wszędzie wiszą nalepki mówiące o dwujęzyczności.

Moja odpowiedź na pytanie, co znaczy być Ślązakiem, jest nieprecyzyjna i nie wprost. Obracam sobie to pytanie w głowie cały czas. Spotykam się z ludźmi w najróżniejszych miejscach i nawet jeżeli nie rozmawiają o Śląsku, to temat gdzieś wisi zawsze w powietrzu.

A jak się już rozmawia, to inaczej niż kilka dekad wcześniej. Teraz jest autentyczne zaciekawienie i zazdrość, że mamy coś, czego inni nie mają: silną wspólnotowość, solidarność – takie pojęcie, które było bardzo ważne dla rewolucji w Polsce w 1980 roku. Teraz pojęcia się dewaluują i znaczą coś innego. Dla nas, Ślązaków, solidarność jest fundamentalną wartością. Solidarność jednostkowa – ze swoimi przekonaniami, w rodzinie, w społeczności, w formacji kulturowej.

Wolność to moja elementarna, podstawowa kategoria. Jakbym miał powiedzieć, co znaczy „Villqist", tobym powiedział: „wolność".

Wolność to zrozumienie, że trzeba być samemu – nie w sensie społecznym, ale emocjonalnym. Zawód, który uprawiam, pomaga mi. Wiem, że trzeba sobie dawać radę bez patrzenia na innych, trzeba być konsekwentnym w tym, co się robi, i samodzielnym emocjonalnie. I trzeba dawać sobie radę w elementarnych sprawach, jak ubieranie, jedzenie. Trzeba zapłacić rachunki i alimenty, nie być zależnym od nikogo. Trzeba starać się tak skonfigurować swoją obecność, żeby móc funkcjonować artystycznie bez współuczestnictwa w grupach samopomocowych. To jest bardzo trudne i koszt jest ogromny, ale po wielu różnych doświadczeniach mogę powiedzieć, że wolność to wartość elementarna – nie tylko dla artysty, ale dla każdego człowieka. Ma to swoje bezwzględne konsekwencje, bo łatwiej jest być związanym z jakąś grupą i być fajnym kolegą – wtedy łatwiej się żyje i pracuje. Samemu trudniej, ale uważam, że lepiej,

że to jest dobry wybór. Pewnie jest milej w związku emocjonalnym, ale też nie każdemu.

Artysta, zwłaszcza dramatopisarz, musi być sam.

Adela **Głowacka**
Romka

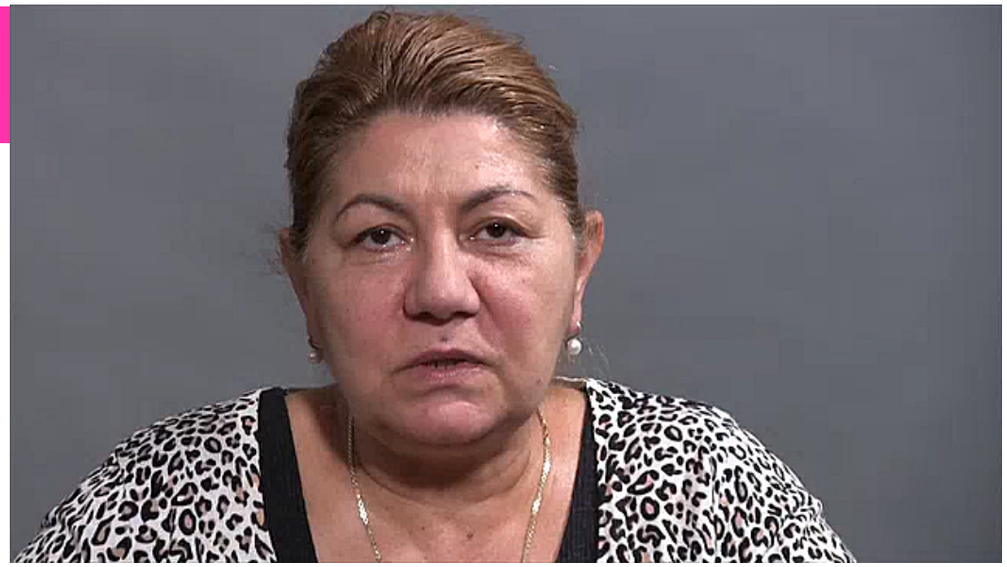

## Nie wystarczy po prostu żyć

Mam 60 lat, w 1989 roku miałam lat 35.
W czasach komunizmu byłam młoda, chodziłam do szkoły podstawowej i bardzo utożsamiałam się z tamtymi czasami – nawet nie wiedziałam, że komunizm to coś złego. Beztroskie lata...
Pamiętam, jak raz wróciłam z kościoła i włączyłam telewizor, a tu Wojciech Jaruzelski ogłasza stan wojenny. Pomyślałam: „no i dobrze", choć nigdy nie czułam się komunistką, bo u Romów nikt nie należał do partii. Wiedziałam, że stan wojenny nie doprowadzi do wojny, ale będzie ograniczeniem swobody. Dla Romów najważniejsze było, żeby żyć, dla mnie – żeby chodzić do szkoły i mieć jakieś warunki bytowe. Nie

interesowaliśmy się polityką, jak nas nikt nie zaczepiał, to byliśmy bardzo szczęśliwi.
Ale prześladowania przez milicję to pamiętam bardzo dobrze. Po dziesiątej w nocy czy przed szóstą rano wpadali, zrywali wszystkich z łóżek: musieliśmy chodzić na komendę i zostawiać swoje linie papilarne. Upokarzające było, kiedy wypełniałam wniosek o paszport – nie pozwolili mi zostawić „obywatelka polska", musiałam napisać, że jestem Cyganką. A przecież byłam obywatelką Polski, a cygańską miałam narodowość.
Z upadkiem komuny wydawało się, że Lech Wałęsa będzie tą osobą, która otworzy nam okno na świat. I tak się stało, bo wtedy właśnie Romowie mogli wyjeżdżać za granicę i szukać lepszego życia. Ale niektórzy z nas poczuli się bezradni. Wcześniej mogli chodzić do pracy, nawet bez wykształcenia, umiejętności zawodowe nie były wymagane. A potem zapanował strach, że nie poradzimy sobie w tym życiu. Wtedy uwypukliła się olbrzymia nędza niektórych Romów. Trwa do dzisiaj.
Po 1989 roku powstało wiele stowarzyszeń pomagających słabszym. Ale był też pogrom Romów w Mławie. Zapanował strach, że nas pobiją i zabiją. Wszyscy powyjeżdżali do Szwecji i zostałam sama z mamą. To była tragedia, wyludniło się wokół mnie. Bo u Romów rodzina to nie tylko mąż, żona i dzieci, ale i krewni. Dziś nie ma już takiej więzi rodzinnej, którą pamiętam z młodych lat. Zatarcie więzi rodzinnych spowodowała właśnie wolność. Ci młodzi Romowie, którzy opuścili Polskę, zostawili tych biednych, nieradzących sobie. To jest przykre, bo wyzwolił się w Romach niespotykany egoizm. Znika powoli romanipen – a przecież powinniśmy go pielęgnować! Chcąc przetrwać, musimy zachować tożsamość, tradycję. Wiadomo, że musimy ją jakoś inaczej ustawić do czasów współczesnych i agresywnej cywilizacji. Ale musimy zadbać o swoje rodziny.
Wolność? Ja nawet w czasach komunistycznych czułam się wolna, bo od zawsze mam odwagę mówienia – czasami zachowuję się wbrew temu, co myśli ogół. A wolność to właśnie swoboda wyrażania myśli. Ale też umiejętność korzystania z wolności. Bo w nadmiarze wolność – tak jak i demokracja – może sprowadzić na nas zło.

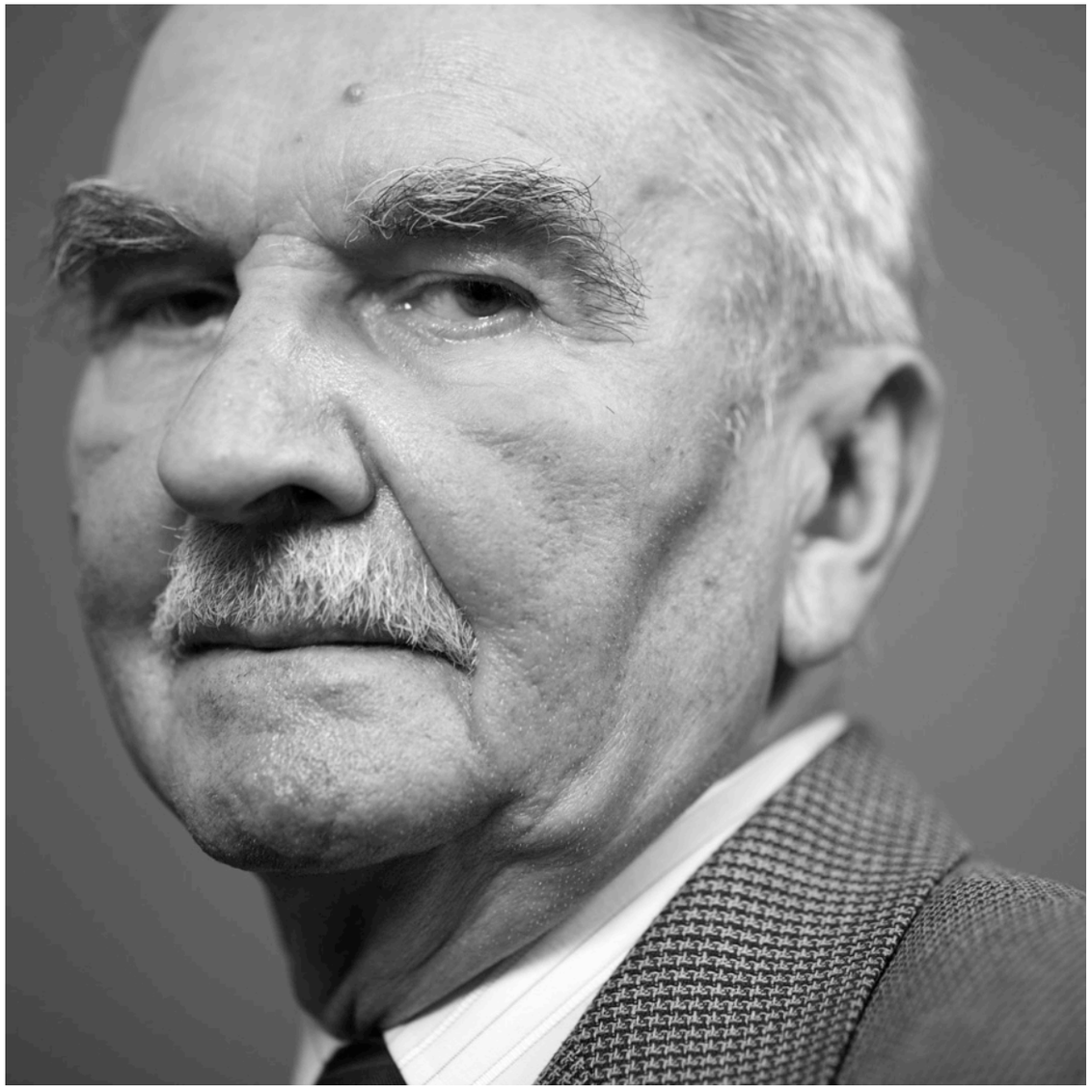

Aleksander **Kolańczuk**
Ukrainiec

## Szanuję przeszłość

Nazywam się Aleksander Kolańczuk, mam 82 lata, w 1989 roku miałem 57. Jestem Ukraińcem. Miałem w życiu różne etapy. Pierwszy: zaraz po wojnie przesiedlenia, przenoszenia, zmiana miejsca zamieszkania z Lubelszczyzny na tereny Warmii i Mazur, skomplikowany okres
adaptacji. Potem studia w Wyższej Szkole Rolniczej, praca w systemie oświaty rolniczej, praca doktorska.
Przez przesiedlenia zerwane zostały nasze więzi rodzinne – jedni byli na Wschodzie, drudzy na Zachodzie. Byliśmy wychowywani w oderwaniu od tradycji historycznej. Zerwany został też kontakt z wyzwaniem, z religią i z życiem religijnym. Byliśmy wyobcowani. Pamiętam, jak byłem mieszkańcem bursy, kiedy

przyszedł okres świąt i grupowe chodzenie na nabożeństwa – grupka przesiedlonych czuła się bardzo obco. Ciężko było znaleźć więź duchową, dlatego byliśmy zamknięci w sobie. Niektórzy ukrywali swoje pochodzenie, mówili, że są spod Warszawy. Propaganda w środkach masowego przekazu na temat okresu powojennego, Bieszczad, działalności organizacji nacjonalistycznych na Podkarpaciu, nacjonalizmu ukraińskiego, band i powstania warszawskiego, udziału żołnierzy formacji niemieckich, w których służyli również przedstawiciele narodu ukraińskiego – to wszystko rzutowało na nas bardzo ujemnie. Czuliśmy to.

1989 rok przyniósł radykalne zmiany, w Warszawie zorganizowany był Okrągły Stół, czynnie w nim uczestniczyłem. W obradach brali udział członkowie odradzającego się Kościoła greckokatolickiego, części duchowieństwa prawosławnego, która poczuwała się do narodowości ukraińskiej ze środowiskami nauczycielskimi. W 1989 roku lawinowo powstawały struktury organizacji: Towarzystwo Ukraińskie, lekarskie, prawnicze, nauczycielskie. Powołano struktury regionalne Łemków, w Przemyślu podjęto walkę o katedrę greckokatolicką, różne działania nabrały charakteru ogólnokrajowego. Rozpoczął się proces odnawiania pamięci Orląt Lwowskich i cmentarza na Łyczakowie. Byłem w komisji ze strony Związku Ukraińców Polskich i ze strony żołnierzy AK w upamiętnieniu ofiar drugiej wojny światowej.

Ale pewne sprawy ciężko załatwić. Na przykład Akcja „Wisła", której celem było rozwiązanie kwestii ukraińskiej w Polsce w 1947 roku. Zwracano się z prośbami do władz państwowych, aby ją ocenili, bo w ramach Akcji „Wisła" około czterech tysięcy osób zostało zamkniętych w filii obozu Auschwitz w Jaworznie. Prawie dwieście zakatowano, skazano bez wyroków. Chodziło o upamiętnienie ich choćby tablicą. Chcieliśmy jakiejś formy rozgrzeszenia – żeby państwo stwierdziło, że ta akcja była niezgodna z prawami człowieka, wbrew zasadom o równym traktowaniu obywateli. Udało się to zrobić senatorom, ale sejmowi polskiemu do dziś nie udało się załatwić tej sprawy.

Pokolenie, które odchodzi, mówi, że odchodzi skażone, z wyrokiem skazującym za niezawinione grzechy.

Każdy z nas został tak stworzony, że ma prawo postępować zgodnie ze swoim sumieniem. Ja czuję się wolny, wypowiadam te słowa bez skrupułów. Nigdy nie miałem zahamowań, że jestem z rodu Ukraińcem i wyznawcą obrządku wschodniego. Nigdy nie krępowałem się tego powiedzieć, nie ukrywałem tego. Zawsze uważałem, że powinnością człowieka jest szanowanie tego, co przeszłość nadała.

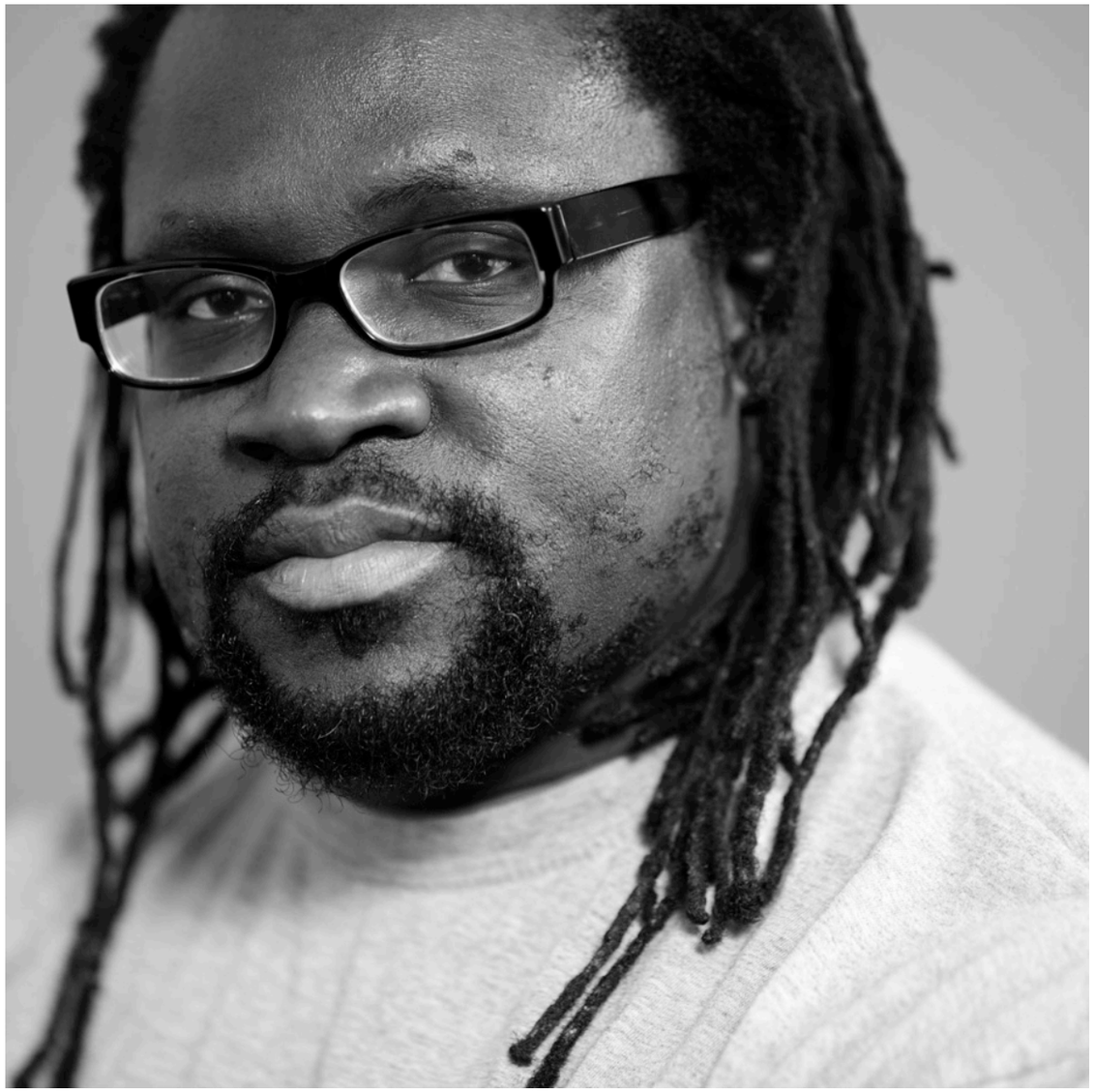

Mamadou **Diouf**
Senegalczyk

## Wolność to świadoma swoboda

W 1989 roku miałem 26 lat, dziś mam 51. Do Polski przyjechałem na studia w 1983 roku.

W 1990 roku ukończyłem Wydział Weterynaryjny SGGW i wróciłem do Senegalu szukać pracy, bo to mój rząd sfinansował studia w Polsce. Nie znalazłem, wróciłem więc do Polski na studia doktoranckie. Ukończyłem je w 1995 roku, a w trakcie nagrałem płytę z Włodkiem Kiniorskim. I już zostałem przy muzyce.

Kiedy przyjechałem do Polski, zszokowały mnie trzy rzeczy. Jedna to oczywiście zima – wiedziałem, że jest, ale nie że to aż tak! Druga – język. W Senegalu francuski jest językiem urzędowym, w liceum miałem łacinę, niemiecki i angielski,

więc miałem kontakt z językami europejskimi. Ale polski to zupełnie inna działka. A trzecia rzecz to był kryzys: brak wszystkiego, puste półki. A do tego eksport wewnętrzny, czyli Pewexy - wyspa produktów zachodnich, dla zwykłych Polaków niedostępnych. Niepojęte dziwactwo.

Pamiętam bardzo dobrze rok 1989, atmosferę podniecenia, plakat z kowbojem, debatę w telewizji i Okrągły Stół, i Urbana, Michnika, Kuronia, Wałęsę, Mazowieckiego, Geremka, wyniki wyborów, podział procentowy w sejmie. Ale i handel, który kwitł na ulicach, i ludzi

z papierem toaletowym na szyi. Rok 1989 rzeczywiście był przełomowy i dlatego mi szkoda, że dzisiaj przeciętny człowiek na świecie kojarzy te zmiany tylko z murem berlińskim.

W połowie lat 90. zaczęto powszechnie używać słów „ciemnoskóry" i „czarnoskóry". Ale to nie szło od ulicy, tylko od dziennikarzy. To niby miało być lepsze od słowa „murzyn"… Dla mnie jednak to jest to samo. Pokazuje, że język polski ma pewną niemoc, że nie jest w stanie nas określić inaczej niż przez skórę. Przecież jeśli przedstawiam się jako Mamadou, Afrykanin, Senegalczyk, to już są trzy terminy, żeby mnie określić!

Ale w tym, co robię, czuję się wolny - bo lubię to. Dla mnie wolność to świadoma swoboda. Ludzie, którzy uważają, że można wszystko, bo jest wolność, nie rozumieją jej. Nie wierzę

w wolność totalną – spowodowałaby chaos. Człowiek nie będzie latał, nawet gdyby chciał. Francuzi mówią: „moja wolność kończy się tam, gdzie zaczyna się wolność drugiego człowieka", i to jest prawda. Sam powinienem swoją swobodę ograniczać, żeby nie przeszkadzać sąsiadowi. Tak pojmuję wolność.

Dżanetta **Bogdanowicz**
Tatarka

## Mogę mówić prawdę

Mam 55 lat, w roku 1989 miałam 30. Urodziłam się w Trzciance, w Wielkopolsce. My, Tatarzy, nigdy nie mieszaliśmy się do polityki, w naszym domu rodzinnym również tak było. Jak zaczęła się „Solidarność", to mój tatuś za nią był i w domu dużo się o tym mówiło. Był to czas, kiedy mogłam już jechać na tatarski bal czy spotkania na Podlasie, poznawałam młodzież tatarską; rodzice pozwalali, wręcz zachęcali do takich wyjazdów i spotkań na Podlasiu. W tamtych czasach byliśmy wszyscy szarzy i równi, chodzi o młodzież, o środowisko – ale ja wiedziałam, że jestem inna. Nie mówiło się w domu, że coś nie tak, ale to się wyczuwało. Nie wspominało się czasów wojny, zsyłki na Syberię z babcią i

bratem, bo to wciąż była trauma.
W Trzciance, w środowisku, w którym się wychowywałam, wszyscy byli katolikami, a mimo to rodzice nie bali się nadać nam muzułmańskich imion. Moja rodzina była wyjątkowa: tato miał na imię Ali, mama – Tamara. Dla rodziców było ważne, żebyśmy zachowali swoją tożsamość.
W szkole nigdy nie miałam problemu ani z imieniem, ani z religią. Jak wyjechałam do szkoły średniej, często pytano mnie, skąd takie imię – odpowiadałam, że jestem Tatarką.
Wyszłam za mąż za Tatara. I wyjechałam dalej niż rodzeństwo, bo aż na Podlasie, do Supraśla. W Supraślu zaczął się następny etap mojego życia, zaczęły się rodzić dzieci: Dżemila, Elwira i Tamira.
Wolność zaczęła się od chwili, kiedy już jako dorosła kobieta usłyszałam od babci o tym, jak było naprawdę z wojną i moimi dziadkami rozstrzelanymi przez NKWD. Wreszcie można było o tym wszystkim mówić głośno. Wolnością było także to, że mogłam spokojnie wychowywać dzieci, że mogliśmy jeździć na nabożeństwa – już nie trzeba było modlić się w zamkniętych domach.
Rok 1989 kojarzy mi się z nadzieją na lepsze – ta nadzieja, że będzie tylko lepiej, trwa do dzisiaj. Ale czy naszym dzieciom będzie lepiej…?  Boję się o przyszłość, skoro dzieją się takie rzeczy, jak w Kruszynianach. Ktoś zbezcześcił nagrobki na cmentarzu – np. na grobie naszego stryjecznego dziadka wymazał znaki Polski Walczącej. A przecież dziadek był oficerem w Wojsku Polskim! Myśmy byli pierwszymi muzułmanami w Polsce, w Rzeczpospolitej, nasi przodkowie o nią walczyli! Do dzisiaj nie możemy sobie przetłumaczyć, czym sobie zasłużyliśmy na to. A to, co się działo w Kurban Bajram - święto ofiarowania? Wywodzi się z judaizmu, jest bardzo stare. Ofiarowujemy w nie dwa baranki - to jest rytuał religijny, tradycja naszej niewielkiej grupy. Ale ludzie myślą chyba, że to rzeź zwierzątek! I nagle pikiety… strasznie to przeżyliśmy. Ja, obywatelka Polski, wychodzę z meczetu po swoim święcie i zastaję pikietujących ludzi? Dlaczego?

Janina **Pawłowska**
Romka

## Czuję strach

W 1989 roku miałam 17 lat, teraz mam 42. W 1989 roku wyjechałam za granicę z rodzicami, po trzech latach wróciliśmy. Stęskniliśmy się za Polską. I do tej pory mieszkamy w Andrychowie. Z dzieciństwa pamiętam stan wojenny, kartki, kolejki. Ale nie pamiętam rasizmu. Ludzie byli inni.

Zawsze tak było, że Cyganie byli prześladowani, ale tego tak się nie odczuwało. Mówiono o nas „Cyganie" i byliśmy do tego przyzwyczajeni. Ale teraz wyzwiska są inne: „brudasy, czarnuchy". Dochodzi do bicia dzieci, zaczepek. Bardziej czuje się nienawiść. Ostatnio wyszłam do sklepu jarzynowego w Bielsku, wszedł też jakiś facet i zaczął mnie wyzywać,

uderzył mnie i powiedział, że jak nie wyjdę, bo mnie zabije. Ekspedientka chciała już dzwonić na policję, ale on wyszedł ze sklepu. Wtedy ja zadzwoniłam po męża – przyszedł i zaczął się z nim kłócić. Na szczęście nie doszło do rękoczynów.

Nie wiem, jak tu dalej w Polsce będzie. Może nasze dzieci wyrosną i wyjadą za granicę do pracy, żeby żyć i mieszkać inaczej? My też się zastanawialiśmy, czy nie wyjechać za granicę, jak w czerwcu były te napady w Andrychowie. Teraz czuję się spokojniejsza, ale jeszcze miesiąc wcześniej, jak szłam w dzień do sklepu, oglądałam się za siebie. A wieczorami to już w ogóle nie wychodzimy z domu. Najwyżej wyjeżdżamy z mężem samochodem. Dzieci też siedzą.

Więc co to znaczy „być wolnym”? Być wolnym człowiekiem – to znaczy poruszać się bez strachu i przykrych doświadczeń, wyzwisk. Wiem, że w innych miastach też tak jest, jak w Andrychowie: tysiąc osób przejdzie, a znajdzie się jedna, która zacznie wyzywać i uderzy. Nie czuję się wolna w Polsce, boję się o siebie, o dzieci, o rodzinę.

Jerzy **Mokrauz**
Ksiądz prawosławny

## Podążam za dobrem

W 1989 roku miałem 17 lat, dzisiaj mam 42. Wtedy myślałem, że jeśli w Polsce cokolwiek miałoby się zmienić, to musi to trwać całe dziesięciolecia. Nie spodziewałem się, że wystarczy kilka miesięcy.

Skończyłem szkołę średnią, jednocześnie ucząc się w seminarium duchownym. W roku 1991 ukończyłem seminarium i zdałem maturę, potem było pięć lat studiów w Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej w Warszawie. Święcenia kapłańskie otrzymałem w 1996 roku i już w następnym roku zostałem skierowany do Przemyśla.

Co się zmieniło po 1989 roku? Bardzo wiele. 4 lipca 1991 roku została uchwalona ustawa o stosunku państwa do

Polskiego Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego. Kościół prawosławny w Polsce otrzymał prawo do prowadzenia posługi duszpasterskiej w dużych instytucjach - w wojsku, w szpitalach, więzieniach - a także nauki religii w szkołach. Mogliśmy zakładać fundacje, stowarzyszenia, takie jak np. Ośrodek Miłosierdzia, czy różne bractwa cerkiewne, które prowadzą działalność nie tylko na polu cerkiewnym, ale także świadczą wiele dobrego dla ogółu społeczeństwa.

Nigdy nie odbierałem siebie jako outsidera. Wręcz przeciwnie – przepełnia mnie radość, że jestem duchownym Kościoła prawosławnego. Wiem, że Kościół prawosławny istnieje w Polsce od początku polskiej państwowości. Nie jest ciałem obcym, czy jakimś elementem narzuconym, ale tu był i jest. I da Bóg, będzie.

Wolność nie może polegać na ograniczaniu wolności innego człowieka czy innej społeczności. Wolność jest wtedy, gdy konflikty i problemy potrafimy rozwiązywać wspólnie, przez konstruktywną rozmowę. Niebezpieczne jest zachłyśnięcie się wolnością, myślenie, że skoro jest wolność, to można więcej, można prawie wszystko, można robić to, czego nie robiło się kiedyś. Wolność jest wielkim dostojeństwem człowieka, ale – co jest warte podkreślenia – zakłada możliwość dokonywania zarówno dobrych jak złych wyborów. Wolność jest też czynnikiem warunkującym rozwój.

Po 1989 roku na tyle jesteśmy wolni, że możemy w ramach wolności realizować swoje cele, nawet będąc pod presją większości. Żeby zrozumieć, co to jest wolność, trzeba by się cofnąć do źródła wolności, a źródłem tym jest Bóg, który z natury jest wolny i który wolnością obdarował człowieka.

Dla mnie wolność jest podążaniem za dobrem, którego źródłem jest Bóg, podążaniem nie narzuconym, ale wynikającym z miłości.

Alina **Wawrzeniuk**
Białorusinka

## Po 1989 możemy nawet narzekać

Sprzed 1989 roku pamiętam liceum, kolejki, puste sklepy. Mieszkałam w małej miejscowości, a przez piętnaście lat wychowywałam się na wsi, potem przyjechaliśmy z rodzicami do Bielska Podlaskiego. Nie znałam takiej historii, którą znali moi rówieśnicy z większych miast i chyba do dzisiaj mam w związku z tym kompleksy. Wtedy nie odbierałam wszystkiego tak, jak odbieram w tej chwili. Polityką się nie przejmowałam i tak było przez długi czas – to też wina moich nauczycieli historii. Nigdy nie trafiłam na dobrych, a moi rodzice o historii mi nie opowiadali.

Języka białoruskiego uczyłam się w szkole podstawowej, potem w liceum. Wtedy trudno mi było powiedzieć, że jestem

Białorusinką. W pewnym momencie powiedziałam sobie, że nie jestem Polką – chodzi mi o narodowość, a nie o obywatelstwo. Bardzo wiele różnych rzeczy różniło mnie od moich rówieśników Polaków, ale do swojej białoruskości doszłam sama. Ale gdyby nie to, że moi rodzice i babcia posługiwali się dialektem białoruskiego, pewnie byłoby mi trudniej. Moja białoruskość rozwinęła się po roku 1989, dzięki kontaktom z młodymi ludźmi w moim wieku, przede wszystkim z moją koleżanką z pracy Marylką Bazyluk, która mieszkała w Bielsku. Po studiach wróciłam do Bielska Podlaskiego – pracowałam w szkole, a ona była nauczycielką języka białoruskiego. U Marylki spotykało się mnóstwo ludzi, była moda na czytanie wierszy po białorusku, książek – i to sprawiało mi ogromną radość. Dzięki tym rozmowom i spotkaniom jestem Białorusinką. Myślę, że tę białoruskość udało mi się przekazać własnym dzieciom, staram się ją przekazywać moim uczniom. Od końca lat dziewięćdziesiątych pracuję w Białymstoku jako nauczycielka języka białoruskiego.

Gdyby ktoś przed 1989 rokiem powiedział mi, że będę mogła zobaczyć cały świat, tobym absolutnie w to nie uwierzyła. W liceum rozmawiałyśmy z siostrą, jak bardzo byśmy chciały zobaczyć Paryż i wieżę Eiffla. W 1991 roku zrobiła na mnie ogromne wrażenie. Ten wyjazd zorganizowali ludzie z Białoruskiego Zrzeszenia Studentów. Wolność to swoboda podróżowania. Nigdy nie marzyliśmy, że będziemy robić rzeczy, które robimy. Możemy liczyć nawet na finanse. Może nie są to wielkie rzeczy, ale z perspektywy lat jest ich sporo. Wolność to to, że mogę się spotkać w Krynkach z rewelacyjnymi ludźmi, o których czytałam, słyszałam. Wolność to to, że mamy komórki, Internet. Wolność – że mogę wsiąść w samolot i po kilku godzinach znaleźć się w zupełnie innym świecie. Wolność to czytanie różnych książek, oglądanie zagranicznych filmów od razu, a nie po latach od ich produkcji. Wolność to wybór w sklepach, że możemy jeść zimą pomidory. W tym roku, jak był 4 czerwca, wypiłam sobie lampkę wina i pomyślałam, że wolność jest też wtedy, kiedy nie trzeba wynosić kosza ze śmieciami, tylko ma się worek na śmieci – przed 1989 rokiem nikomu by to nie przyszło do głowy...

Naszym problemem jest, że nie mamy czasu na refleksję, słuchamy oszołomów i narzekania, jak jest źle, a tak naprawdę nie rozumiemy, że narzekać możemy dzięki temu, że był rok 1989. Politycy świadczą o tym, że mamy wolność. To, że różne osoby, z różnymi światopoglądami wypowiadają się w telewizji, to też jest wolność. Wolność to takie banalne, ale i bardzo poważne sprawy. Ja czuję się wolna jako

nauczycielka, jako Białorusinka, nie czuję się nikim gorszym, czasem trochę innym, bo mój język ojczysty różni się od polskiego.

Józef Sygit **Forencewicz**
Litwin

## Mogę mówić prawdę

W języku litewskim moje imiona i nazwisko brzmią Juozas Paran-Sevičius. Mam 73 lata, w roku 1989 miałem 48.

W roku 1950 moja rodzina została wysiedlona do województwa szczecińskiego. To było doświadczenie z tych najbardziej przykrych. Ze stacji kolejowej w Trakiszkach wywieziono Litwinów w 40 wagonach – oczywiście towarowych. Mój ojciec próbował się przeciwstawić, ale osadzili go w więzieniu w Suwałkach.

W powiecie myśliborskim dostaliśmy zagrodę poniemiecką, dwa hektary ziemi – i z tego trzeba było się utrzymywać. Po 1956 roku wszystkich zesłanych rehabilitowano i zezwolono na powrót. Ojciec skorzystał i wrócił w 1956 roku, odzyskał

swoje gospodarstwo, które było włączone do PGR-u, czyli Państwowego Gospodarstwa Rolnego.
Przed rokiem 1989 pracowałem jako nauczyciel w Liceum Ogólnokształcącym w Puńsku i byłem przewodniczącym Litewskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego – jedynego wówczas przedstawicielstwa Litwinów w Polsce. Towarzystwo działało pod nadzorem Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Zjazdy, które odbywały się regularnie co cztery lata, bo tak przewidywał statut stowarzyszenia, były zawsze z udziałem przedstawicieli Ministerstwa Spraw Wewnętrznych; trzeba było z nimi przed zjazdami ustalać skład ewentualnego zarządu. Formalnie zarząd był wybierany, ale z kolei już on był wskazywany przez organa Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.
Polskie zmiany nie zaczęły się od 1989 roku, tylko od powstania „Solidarności". Jednak pierwsze wzmianki o „Solidarności" i pierwsze uchwały Litwini podejmowali z nieufnością, ponieważ uważali, że zaczyna się odradzać polski nacjonalizm. W 1989 roku nastąpiły zmiany ustrojowe, a Litwa odzyskała niepodległość. Te zmiany spowodowały zniknięcie tej kolczastej granicy, która oddzielała środowisko litewskie w Polsce od Litwy. Obecnie Litwini mieszkający tutaj czują się na tyle swobodnie, że absolwenci mogą wybierać studia na wszystkich uczelniach litewskich – nie do pomyślenia w poprzednim okresie.
Wolność to wykonywanie określonych czynności i prac bez żadnego przymusu, a z własnego wyboru. Te prace mogą być różne, dotyczyć różnych rzeczy i nie powinny szkodzić innym – to jest jeden warunek. Drugi – żeby te czynności miały określone cele i sens. Jestem wolny, jestem na emeryturze, choć może niewolny od choroby, która mnie nęka. Mogę mówić to, co uważam za prawdziwe.

Jan **Gebert**
Żyd

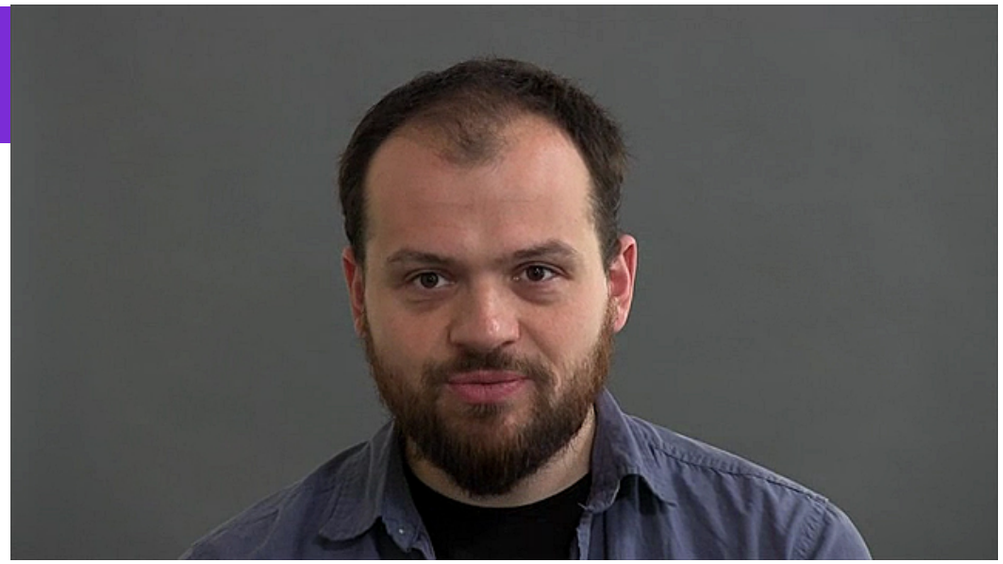

## Coś więcej niż Polska

Mam 34 lata, w 1989 miałem 9. Moi rodzice byli działaczami „Solidarności". W domu przechowywaliśmy bibułę, drzwi do składu bibuły mieliśmy zamurowane, tata był redaktorem jednej z podziemnych gazet w KOS-ie [Komitecie Oporu Społecznego „Solidarność"], potem korespondentem przy Okrągłym Stole, jeszcze później zaangażował się politycznie, był związany z Jackiem Kuroniem. W domu mieliśmy sztaby wyborcze kolejnych wyborów. Do dzisiaj przechowuję naklejki i wpinki z wyborów prezydenckich, w których startował Tadeusz Mazowiecki. Wtedy dopiero, w roku 1989, zacząłem uczestniczyć w życiu społeczności żydowskiej.
Wychowałem się w domu żydowskim i od małego byłem

świadomy tego, że jestem Żydem – większość moich znajomych dowiedziała się o swoim pochodzeniu dopiero w dorosłym życiu. Moi dziadkowie byli pochodzenia żydowskiego, ale nie czuli się Żydami. Moi rodzice podjęli decyzję, że Żydami zostaną i sami odkrywali tę tożsamość – byli jednymi z pierwszych w Polsce, którzy postanowili zrobić coś ze swoim żydowskim pochodzeniem. Założyli Żydowski Uniwersytet Ratujący – ŻUR. Od końca lat siedemdziesiątych próbowali reaktywować spotkania żydowskie. To była grupa samokształceniowa: robili święta żydowskie w domach i uczyli się nawzajem, co to znaczy być Żydem. Urodziłem się w świeckim domu żydowskim, ale wychowałem się w religijnym, bo rodzice od początku lat osiemdziesiątych stawali się coraz bardziej religijni.

Początek mojej szkoły podstawowej przypada na przemiany 1989 roku, które są uznawane za jeden z największych wybuchów antysemityzmu w Polsce. Antysemityzm był wszędzie: było bardzo dużo literatury antyżydowskiej, konflikty międzynarodowe, a w polskiej polityce awantury dookoła krzyża papieskiego w Oświęcimiu i krzyża na terenie zakonu koło Auschwitz-Birkenau. Chodziłem do szkoły i bardzo dużo się biłem. Rodzice uważali, że się biję w tych szkołach dlatego, że jestem Żydem, i że jestem bity dlatego, że jestem Żydem. Chodzili na wywiadówki i tłumaczyli dzieciom, że należy szanować mniejszości narodowe, nie należy się bić itd. Tłumaczyłem rodzicom, że nie bijemy się z tego powodu. Ale zmieniłem stosunek do oceny tych bijatyk, kiedy spotkałem się po latach z moją klasą. Koledzy zaczęli mnie przepraszać za to, że mnie bili, dlatego że jestem Żydem. Znam dorosłe osoby, które pobito dlatego, że są Żydami i którym niszczono drzwi do mieszkań w Warszawie.

Wychowałem się w Warszawie i dobrze mi się tu żyje. Warszawa jest wyjątkowa na mapie Polski, tu łatwo być mniejszością, a w niektórych środowiskach nawet wypada nią być. Tu dziś bycie Żydem już nie jest obciążające. Nie ma napisów antyżydowskich, które łatwo zobaczyć w innych miastach Polski, zwłaszcza w Łodzi czy Krakowie. Warszawa przedwojenna była stolicą życia żydowskiego w Polsce i na świecie, drugim największym skupiskiem Żydów, pierwszym miastem, jeśli chodzi o aktywność kulturalną, polityczną i sportową. Ta historia żydowska przedwojennej Warszawy jest trochę zapomniana; myślę, że dlatego, bo jest niepolska. W Polsce historycy zajmują się polską historią. W całym kraju jest tylko kilku żydowskich historyków.

Bardzo trudno odpowiedzieć mi na pytanie: czym jest wolność? Łatwiej powiedzieć, czym wolność nie jest i kiedy

jej brak. Dużo jeżdżę na Wschód – do Rosji, na Ukrainę, na Białoruś – tam do dzisiaj jest komuna. Tam można zrozumieć, jak szczęśliwym krajem jest Polska. Należy doceniać przemiany 1989 roku, Okrągły Stół, demokrację, wolność i kapitalizm polski. Białoruś jest naprawdę niedaleko. A jeżeli ktoś nie jest w stanie docenić przemian 1989 roku, niech wystąpi o wizę w ambasadzie, wsiądzie w pociąg i pojedzie do Mińska.

Na pewno w Polsce jest wolność. Wolność jest szerszym pojęciem niż Polska. W Polsce jest wolność, ale wolność to nie tylko Polska.

Krystyna **Gil**
Romka

## Z nikim nie mam zatargów

Nazywam się Krystyna Gil, mam 76 lat, w 1989 roku miałam 51. Urodziłam się w 1938 roku w miejscowości Szczurowa, tam żyłam z całą rodziną. Aż przyszedł 3 lipca w 1943 roku. Niemcy otoczyli osadę romską na końcu wioski i wszystkich Cyganów rozstrzelali na cmentarzu w Szczurowej. Zostałam z babcią. Do 1949 roku mieszkałyśmy w Jędrzejowie, tam chodziłam do szkoły. Co roku babcia mnie brała na cmentarz do Szczurowej i mówiła, żebym pamiętała, kto tam leży i żebym nigdy nie zapomniała tego miejsca. Ale zaczęłam babcię namawiać do powrotu do Szczurowej, tęskniłam, chciałam być bliżej tego grobu. Babcia się zgodziła, wynajęłyśmy domek. Bardzo dbałam o grób – sadziłam

kwiatki, codziennie tam chodziłam. Są w nim pochowane 93 osoby. W 1956 roku gmina z jakąś fundacją się postarały i powstała obmurówka tego grobu. Stanął też kamień z napisem: „Tutaj leżą 93 osoby pochodzenia romskiego".
Skończyłam sześć klas w Jędrzejowie, a siódmą klasę i szkołę zawodową w Szczurowej.
W 1954 roku, jak zaczęła się budować Nowa Huta, na wsi były radia, w których nic nie dało się zmieniać – w kółko w nich bębnili, że ta Nowa Huta to miasto młodych, można dostać pracę, mieszkanie. Namawiałam babcię, żebyśmy pojechały i zobaczyły. W 1955 roku pojechałyśmy, bardzo mi się spodobało. Wróciłyśmy do Szczurowej, skończyłam szkołę zawodową, i znów pojechałyśmy do Nowej Huty. Zatrzymałyśmy się u Romów, którzy już tam mieszkali. Nowa Huta to było takie miasto młodzieży, były tam tzw. zastępy junaków, Służba Polsce. Zapytałam babcię, czybyśmy tu nie zostały i ona się zgodziła.
Jak jeszcze mieszkałyśmy w Jędrzejowie, gdy przyjeżdżał tabor to my, szkolne dzieci, leciałyśmy tam zaraz. I całymi dniami obserwowałam ich życie, obyczaje. Bardzo mi się podobało, jakbym czuła we krwi, że to moje przeznaczenie. Mówiłam babci, że wyjdę za Roma, a babcia na to: „Ani mi się waż!". Ale nie posłuchałam. Wyszłam za mąż za Roma i zamieszkaliśmy u teściów. Mąż pracował w kombinacie, później dostaliśmy mieszkanie. Też pracowałam w kombinacie, urodziłam czworo dzieci. I tak tu mieszkam.
Stan wojenny dobrze pamiętam, bo prawie przed moimi oknami rozgrywała się walka o krzyż. Baliśmy się wychodzić, ZOMO łapało i nie patrzyli, czy winny, czy nie – później i tak trzeba było płacić grzywny za czyn, którego się nie popełniło. Mój syn wracał z pracy – pracował w Zakładach Tytoniowych – złapali go i zrobili mu kolegium. Musieliśmy wtedy zapłacić 12 000 złotych, a to były bardzo duże pieniądze; jakbyśmy nie zapłacili, toby poszedł siedzieć. Staliśmy nocami w kolejkach, żeby cokolwiek dostać na kartki, nieraz po szesnaście godzin, żeby dostać kawałeczek mięsa. Nowa Huta wtedy w tym miejscu była strasznie zadymiona od gazów łzawiących, trzeba było zamykać okna. Stan wojenny był ciężkim przeżyciem. Jak Wałęsa został przewodniczącym „Solidarności", liczyliśmy, że się poprawi. Baliśmy się, że z tych strajków dojdzie do wojny, ale wszystko się unormowało, jak zasiedli do Okrągłego Stołu.
Przed 1989 rokiem żyło się lepiej, bo była praca. Po 1989 roku zaczęły się schody dla Romów – jeśli ktoś przyznawał się do takiego pochodzenia, nie mógł dostać pracy. Życie było wtedy pod takim naciskiem: ty nie możesz pracować, bo jesteś

Romem, nierobem, złodziejem. Ale nie można wszystkich Romów mierzyć jedną miarką. Bo są tacy, którzy chcą żyć i pracować uczciwie, nie być zależnym od MOPS-u czy czegokolwiek. Po 1989 roku zaczęły powstawać różne romskie organizacje, które pomagają Romom w codziennym życiu.

A wolność…? Na co dzień ją widać – romska kobieta może np. chodzić w mini, spodniach czy długiej spódnicy, jak chce. Dla mnie wolność to… jak mustang na prerii. Czuję się wolna, bo z nikim i z niczym nie mam zatargów. Obawiam się tylko takiego czasu, że ktoś może mnie zaatakować tylko dlatego, że jestem Romką. Boję się wyjść wieczorem na ulicę, bo są skinheadzi, którzy mają uraz do mniejszości narodowych, a przede wszystkim do Romów.

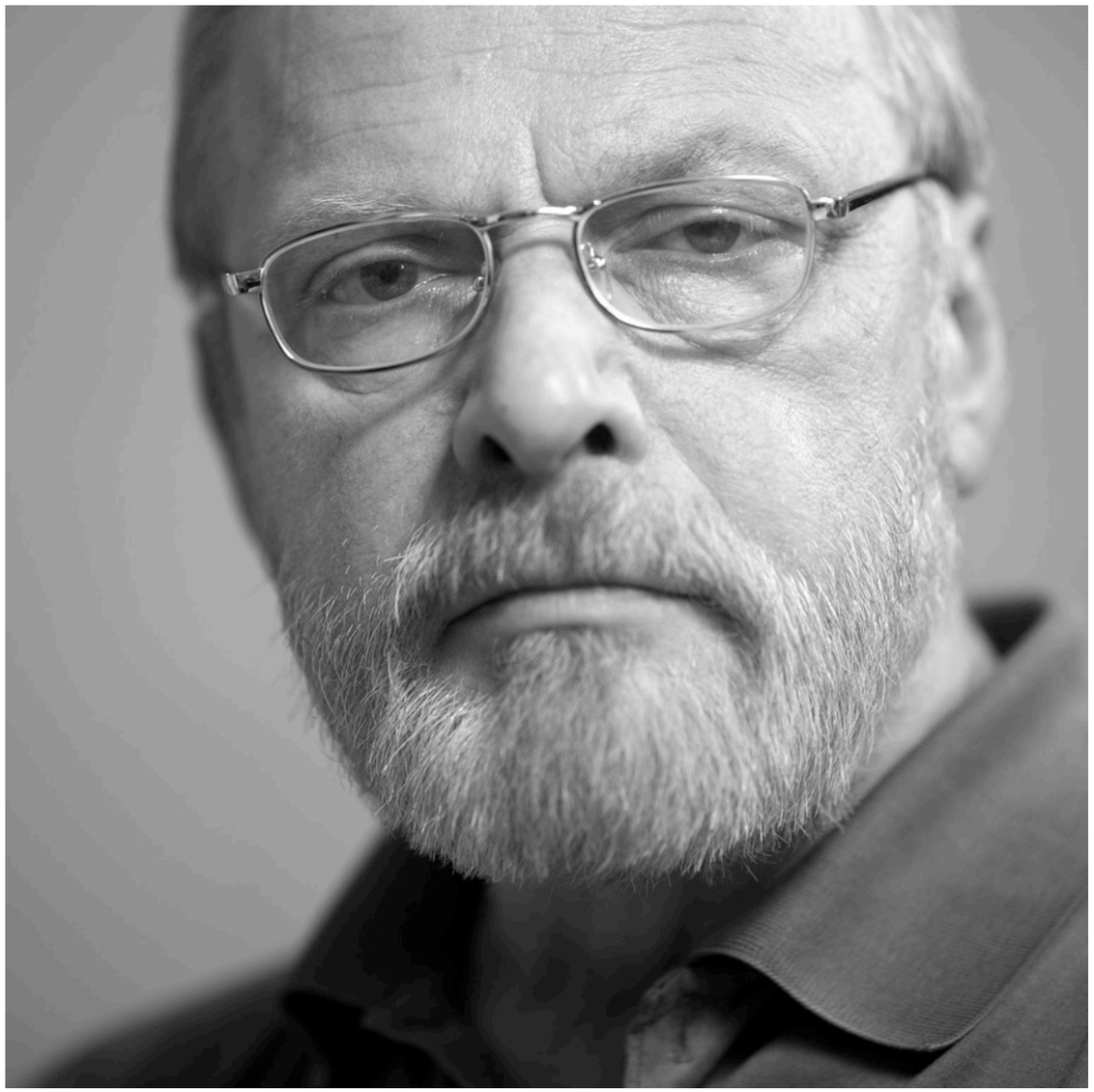

Konstanty **Bondaruk**
Białorusin

## Wszystko mi wolno, ale nie wszystko jest korzystne

Mam 61 lat, w 1989 roku miałem 36. Należę do białoruskiej mniejszości w Polsce, urodziłem się w przygraniczu polsko-białoruskim w 1953 roku. Jestem prawosławnym kapłanem, mam teologiczno-filozoficzne wykształcenie wyższe. Jestem też literatem, autorem siedmiu książek. W 1977 roku otrzymałem święcenia kapłańskie i od 1978 roku usługiwałem jako kapłan. Do 1988 roku byłem w Białymstoku, w 1988 roku z powodów osobistych, nie politycznych, emigrowałem do Stanów Zjednoczonych. Tam mieszkałem do 1991 roku, kiedy przenieśliśmy się z rodziną do Monachium. Do 1995 roku pracowałem jako dziennikarz

Radia Wolna Europa, a potem, do 2008, w białoruskiej sekcji Radia Wolna Europa w czeskiej Pradze. Specjalizowałem się w audycjach religijnych i w tematyce politycznej, byłem komentatorem. Przed sześciu laty wróciliśmy do Polski, zamieszkaliśmy we własnym domu. I zdążyłem się dobrze przyjrzeć różnym polskim niuansom, za granicą niewidocznym. Okazuje się, że to nasze Podlasie, które tak się szczyci wielokulturowością i wieloreligijnością, nie jest z nich wcale dumne. Z wielkim smutkiem i zażenowaniem muszę pisać czy mówić o tym, że zdarzają się takie skandaliczne rzeczy, jak brunatne, dziwne marsze w centrum Białegostoku, napady na domy Czeczeńców, szowinistyczno-nacjonalistyczne ekscesy, łącznie z malowaniem swastyk na resztkach synagog, na ośrodku kultury muzułmańskiej... Te nadużycia wolności dały o sobie znać w ciągu ostatnich lat. To tak, jakby ludzie nie rozumieli wolności, albo rozumieli ją jako przyzwolenie na wszystko – także na demonstrację pogardy do mniejszości. Ta nasza wolność jest źle spożytkowana, niektórzy zrozumieli ją jako okazję do wygłaszania nawet najbardziej imbecylnych i niebezpiecznych teorii.

Moja wolność kończy się tam, gdzie mogłaby naruszać wolność kogoś innego. A więc mam prawa, ale nie powinny one naruszać praw innej osoby. Wolność powinna być związana z poczuciem odpowiedzialności. Apostoł Paweł mówił: „wszystko mi wolno, ale nie wszystko jest korzystne", „wszystko mi wolno, ale niczemu nie oddam się w niewolę". Dla mnie wolność jest wielkim dobrodziejstwem, pozwala zrobić coś dobrego. To forma samorealizacji. Zawsze tęskniłem za wolnością, chciałem jej jak najwięcej, po to by nie mieć związanych rąk. Bo człowiek ze związanymi rękami nie odpowiada w ogóle za nic: ani za zły uczynek, ani za dobry.

Manuel **Dębicki**
Rom

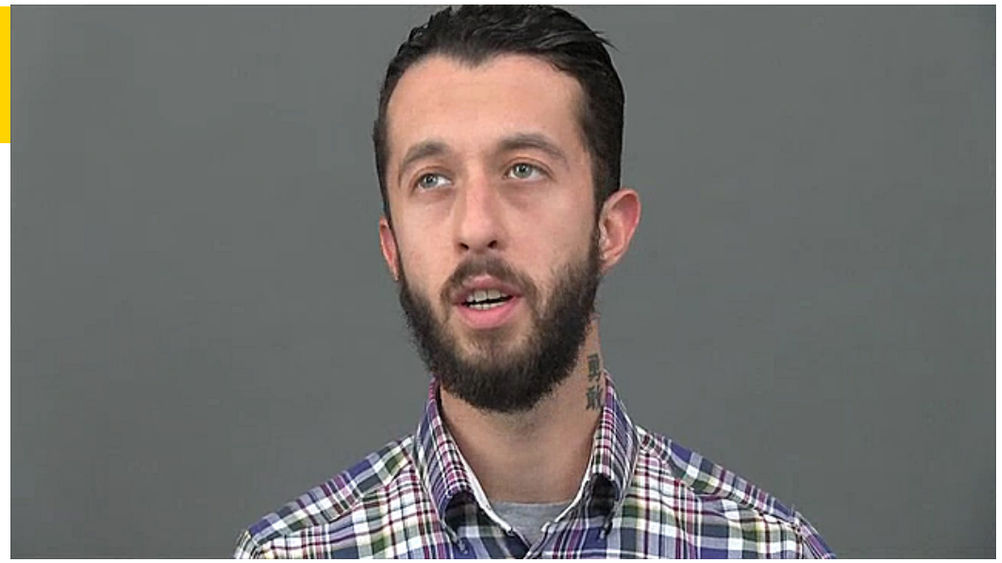

## Ta iskra

Mam 29 lat, w 1989 roku miałem 4 lata.
Romowie mają w sobie jakąś iskrę. Dzięki niej odnajdują się w każdych warunkach, w każdym państwie. W każdych warunkach są wolni, bo zazwyczaj robią to, co chcą i lubią robić, a to pozwala im się czuć wolnymi.
Być Romem w Polsce oznacza być kimś innym. Ludzie od zawsze postrzegali nas jako kogoś z innej planety. Ale coraz częściej prowadzone są kampanie przeciwko nietolerancji. Przybliża się kulturę romską.
Z tatą (Edwardem Dębickim i zespołem Terno) też prowadzimy takie działania, i ludzie powoli zaczynają nas poznawać. Z każdym rokiem stają się coraz bardziej otwarci

na inne nacje i wszystko, co inne. Najgorsza jest nietolerancja ukryta: otwarcie każdy mówi, że nas lubi, a za plecami jest inna rozmowa. Ale myślę, że z czasem i to się zmieni. Wszystko ma się ku lepszemu. Mam nadzieję, że nasze działania też się do tego przyczyniają.
Mam wielkie szczęście, że mogę robić to, co kocham. I mogę z tego żyć. To jest dla mnie wolność.
Jestem muzykiem i wolnym człowiekiem.

Sygit **Birgiel**
Litwin

## Jestem wolny i odpowiedzialny

Urodziłem się w 1961 roku, w 1989 miałem 28 lat. Jestem dziennikarzem, interesuję się historią. Jako dziecko zawsze się dziwiłem, że kiedy rodzice zabierali mnie do miasta, do Sejn albo Suwałk, to między sobą i ze mną rozmawiali w języku polskim, czyli inaczej niż w domu. Inaczej niż wszędzie. Nie rozumiałem dlaczego. I dopiero wiele lat później pojąłem, że się bali: że nie są Polakami, że należą do mniejszości. Była ogromna presja nierozmawiania w języku litewskim, bo to oznaczało wystawić się na szykany, na oszczerstwa, nawet na napaść - nie tylko słowną, ale i fizyczną.
1989 rok otworzył drogę do 1990. Dopiero 1 stycznia 1990 roku stałem się tym, kim chciałem być: jednym z kilku

redaktorów „Auszry". Praca w wydawnictwie była moim marzeniem.
11 marca 1990 roku Litwa ogłosiła niepodległość. A 13 stycznia 1991 roku wojska radzieckie wzięły szturmem wieżę telewizyjną. Kilkanaście osób zostało zabitych, przejechanych czołgami, w tym wiele bardzo młodych. Pamiętam, jak cała Polska solidaryzowała się z Litwinami, potępiała akt agresji, zbierała pieniądze na lekarstwa, medykamenty. A w Sejnach rada gminy ogłosiła, że się dystansuje i odrzuciła pomysł zbiórki na pomoc. Potem pojawiły się na ścianach różne hasła pełne nienawiści do mniejszości litewskiej: „Litwini do gazu" czy „Martwy Litwin to dobry Litwin". Władze nie reagowały. Albo sprawa konsulatu w Sejnach. Po kilku dniach od otwarcia tablica konsulatu została zbezczeszczona, pomalowana farbami, potem wielokrotnie była obrzucana jajkami. W końcu dla jej ochrony został postawiony posterunek i przez 24 godziny policjant pilnował tej tablicy – rzecz niesłychana. 3-4 lata tak to trwało.
W 1990 roku delegacja sejmu litewskiego w drodze do Warszawy zatrzymała się w Sejnach. Parlamentarzyści między sobą rozmawiali po litewsku i nagle jeden z nich dostał po twarzy! Od jakiegoś faceta, który przechodził obok! Kiedy po 1989 roku w Sejnach wreszcie stanęła szkoła, w której uczono po litewsku, pobudowana ze środków Republiki Litewskiej, to już drugiej nocy została wybita jedna trzecia okien.
Po 1989 roku największą zmianą było otwarcie granic. Ludzie zaczęli przyjeżdżać z Litwy i już na targowiskach, potem w sklepach słyszało się język litewski. To było tak masowe, że w końcu nikt już nie zwracał na to żadnej uwagi. Język spowszedniał.
I tak to jest, że wolność zawsze narzuca ograniczenia, odpowiedzialność: za słowo, za myśl, za twórczość. Im więcej wolności, im więcej się z niej korzysta, tym większa odpowiedzialność.
Tak, ja czuję się wolny i czuję się odpowiedzialny.

Roman **Kwiatkowski**
Rom

## Wolność nie jest łatwa

Mam 54 lata, w 1989 roku miałem 29.
Z dzieciństwa zapamiętałem czas wędrowania. Gdy rozbijaliśmy tabor, ludzie schodzili się muzyki słuchać, kobiety chciały, żeby im powróżyć. Ale my, dzieci, tylko gapiliśmy się na siebie. Stereotypy były po dwóch stronach. Ja byłem Cygan – ten zły, on gadzio – ten zły, patrzyliśmy więc na siebie z nieufnością. Mój ojciec był wtedy wójtem. Był osobą wykształconą, dużo czytał, był w Armii Krajowej, w partyzantce. Moja matka pochodziła z Romów niemieckich.
Często mieliśmy najazdy: przyjeżdżało około pięćdziesięciu milicjantów – tak ze dwie ciężarówki. Otaczali obóz i robili kontrolę. Bałem się, bardzo. Szósta rano, popłoch i strach –

widziałem, jak się zachowywali moi rodzice i siostry. I było tak aż do roku 1968, pamiętam przez inwazję na Czechosłowację. Przyszli milicjanci z lekarzami, pielęgniarkami – badali nas, spisywali, pytali o wiek – po to, żebyśmy dostali mieszkanie. Władze osiedliły nas wszystkich w Oświęcimiu, na ulicach Berka Joselewicza i Stolarskiej; mieszkało tam kilka polskich rodzin. Wszystkiego uczyliśmy się od nowa, zawieraliśmy przyjaźnie. Niektórych kolegów spotykam do dzisiaj. Później były czasy młodzieńcze. Miałem dużo kolegów nie-Romów. Lubili mnie, bo dawałem się lubić. Włóczyliśmy się po kawiarniach, jeździliśmy stopem do Świnoujścia na festiwal Fama – bardzo mi się to podobało. Zawsze miałem usposobienie tolerancyjne, chciałem poznawać inną kulturę, Polaków.

Ale inni mówili: a co ty, zadajesz się z gadziami?

Aż przyszedł ten rok, zły rok. Dla przeciętnego Kowalskiego było nie do przyjęcia, że w trudnych czasach kryzysu Romowie radzą sobie lepiej niż Polacy. A my przecież jesteśmy do tego przyzwyczajeni od zawsze! Większość Romów zajmowała się pokątnym handlem, a to wtedy było zakazane: Romowie ryzykowali, a przeciętny Polak się bał. Społeczność lokalna w Oświęcimiu postanowiła więc rozprawić się z Romami. Zaczęło się od piwa. Był 21 października 1981 roku. Jeden z Romów poprosił kumpla, który stał w kolejce, żeby mu wziął piwo – był wtedy taki zwyczaj. Ktoś podszedł i uderzył go w twarz. Ten nie dał sobie w kaszę dmuchać, oddał mu i wyszedł z knajpy. A tamci zostali i pili dalej, a jak się już upili, to wściekli wyszli na ulicę. To był piątek czy sobota, ludzie mieli wolne, więc knajpy były pełne i ludzie usłyszeli hasło: idziemy na Cyganów! Tak się zaczęło, a rozruchy trwały dwa dni, przyszli z butelkami z benzyną, chcieli Romów żywcem spalić. Prowodyrami byli nasi sąsiedzi, a szefem tej grupy recydywista – brat ówczesnego komendanta SB. Z małej grupki zrobiło się około tysiąca osób. Bili, palili, niszczyli wszystko, co romskie. Powstał nawet komitet do spraw wypędzenia Romów. Wszyscy Romowie stąd pouciekali. Został mój świętej pamięci ojciec, ja, moja najmłodsza siostra i szwagier.

Na drugi dzień milicja zaprosiła nas na spotkanie z tym komitetem i kazali się wynosić. Chcieli zbudować dla nas getto pod Bielskiem. Tam mielibyśmy pracować, a wychodzić moglibyśmy tylko na przepustkę. Ojciec powiedział, że on już tyle w życiu przeżył i widział i wie, że to przejdzie, wróci do normy. Nie chciał się nigdzie ruszać. Ja też nie chciałem. Tamci byli uparci, naciskali, żebyśmy wyjechali. Wreszcie

zaproponowali wyjazdy za granicę – i tak Romowie dostali bilety w jedną stronę. Mój ojciec nie wyjechał, ale my tak – był październik 1981 roku. Ostatnia grupa Romów opuściła Polskę 13 grudnia 1981 roku. Po drodze widzieli mnóstwo czołgów.

Wyjeżdżałem rozgoryczony. Moi koledzy, z którymi się wychowywałem (niektórzy byli dla mnie tak przychylni, że nazywali nas, Romów, braćmi) – oni pierwsi krzyczeli, żeby nas zabić. Co ja im zrobiłem? Albo mój ojciec? Jeżeli zrobił im coś jakiś inny Rom, to niech mają do niego pretensje; to jest życie i nie wszyscy muszą się lubić. Najbardziej mnie bolało, że muszą cierpieć niewinni ludzie.

Najgorsze dla mnie jednak było to, że nie wolno mi było wrócić do własnego kraju. Miałem dwadzieścia jeden lat i nie mogłem zrozumieć, dlaczego zabrano mi dokumenty podróży. Dlaczego ktoś mnie pozbawił mojej państwowości. Oczywiście, Szwecja zrobiła na mnie ogromne wrażenie, bo tu było szaro, a tam pięknie, ale chciałem wrócić, bo to tu było moje miejsce na świecie.

Ze Szwecji wyjechałem do Niemiec, do rodziny, i tam przez rok starałem się o przywrócenie obywatelstwa. Konsul w ogóle nie chciał ze mną rozmawiać; powiedział, że nie jestem Polakiem, że zdałem książeczkę wojskową. W Niemczech dostałem status imigranta, ale nie czułem się ani imigrantem, ani bezpaństwowcem, tylko polskim Romem. Kiedy ONZ ostro skrytykowała Polskę za łamanie podstawowych praw polskich obywateli, Jaruzelski podpisał dokumenty, że Romowie, którzy wyjechali, mogą się starać o obywatelstwo – wtedy mogłem dostać paszport konsularny. Kiedy go dostałem, było wielkie święto i radość. Za trzy dni wsiadłem w samochód i pojechałem do Polski. Każdego dnia musiałem płacić czternaście marek za pobyt, wtedy dużo pieniędzy. Przez dziesięć lat krążyłem między Niemcami i Polską. Mieszkałem w Berlinie, we Frankfurcie, handlowałem dywanami.

W 1987 roku chciałem już zostać na stałe w Polsce, ale cały czas mi odmawiano.

1989 rok pamiętam jak dziś: Mazowiecki podniósł dwa palce i powiedział, że Polska jest wolna, demokratyczna. Dwa dni później przyjechałem do Polski. I już zostałem. Inni młodzi nie wrócili. Tylko starzy, co kazali się chować na oświęcimskim cmentarzu.

Gdyby nie 1989 rok, nie byłbym tu, gdzie jestem. Gdyby nie przemiany polityczne, sytuacja edukacyjna Romów w Polsce byłaby o wiele gorsza. Dzisiaj oficjalnie możemy mówić o naszej kulturze. Był chyba 1990 rok, poszedłem do Muzeum

w Auschwitz i zapytałem: dlaczego tu nic nie ma o Romach? Przecież tu zginęła moja babcia, moja rodzina. Zostałem wyrzucony przez ówczesnego wicedyrektora. Powiedział, że nie jestem partnerem do rozmów i kazał mi wyjść, w przeciwnym razie zawoła strażników. Za dwa dni pojechałem do Warszawy na spotkanie z moim kolegą, nie-Romem. Był wysokim urzędnikiem, głównym architektem Oświęcimia. Poprosiłem, by mnie intelektualnie wsparł. Wróciłem wtedy do domu taki naładowany, z dużą energią, że zrobimy coś dla pamięci o naszych bliskich.

Upomnieliśmy się o pomnik romski w Auschwitz, który został opuszczony, tak jak Romowie zostali opuszczeni w Polsce przez politykę. Doprowadziłem do tego, żeby pomnik stał się częścią państwowego muzeum. Dbamy o niego tak samo jak o inne pomniki. Mamy dzięki temu już coś swojego, miejsce, gdzie możemy się modlić, wspominać, spotykać. Ten pomnik ma dla nas znaczenie fundamentalne, tu przyjeżdżają Romowie z całej Europy, o tym miejscu się mówi. Udało nam się pobudzić świadomość europejską, że również Romowie byli eksterminowani.

Po 1989 roku do Oświęcimia zaczęli przyjeżdżać Romowie, którzy opuścili Polskę pięćdziesiąt lat wcześniej. Świadkowie. Wymyśliliśmy sobie taką misję: Romowie modlą się za swoich oprawców w Auschwitz. Wszystko było przygotowane. Spotkanie miało się odbyć na lokalnym lodowisku, około trzech tysięcy Romów z Europy Zachodniej miało przejść od Birkenau na teren obozu cygańskiego, bo tam stał pomnik i tam miały być modlitwy. I nagle, chyba tydzień przed, wybuchła sprawa z Mławą. Romowie, którzy jechali na tę naszą misję, bali się do Polski przyjechać, bo pogrom był nagłośniony na całą Europę. Poczułem, jak jesteśmy bezbronni. I wtedy zrodził się pomysł na założenie naszej organizacji – żebyśmy sami mogli skutecznie bronić swoich praw. To nie było łatwe, bo po Mławie w różnych częściach kraju zdarzały się ataki ze strony skinheadów.

Poczuliśmy się wolni, ale razem z wolnością pojawił się strach. Tak, dyskryminacja była, jest i pewnie będzie, dopóki świat będzie istniał. Myśmy jednak zrozumieli, że można i należy się jej przeciwstawiać. Używać nie siły fizycznej, ale argumentów prawnych, merytorycznych. Szukać pluralizmu, dialogu, porozumienia. To nam dała wolność.

Ale z wolności trzeba umieć korzystać tak, żeby nie krzywdzić innych. Wolność ma swoje granice. Nie może być tak, że w Polsce, w centrum Europy, sąd orzeka, że swastyka jest symbolem miłości. W Polsce, która tyle złego wycierpiała od ludzi spod tego znaku!

Ja jestem wolny. Mogę robić, co chcę. Mogę mówić w oczy to, co uważam za słuszne. Pewnie, nie jest to łatwe, ale nikt nie powiedział, że życie jest łatwe, i że wolność jest łatwa. Ale jest czymś najpiękniejszym na świecie. Nie ma nic lepszego od wolności. Wiem, co to jest wolność, czuję się naprawdę wolny.

Konrad **Głowacki**
Rom

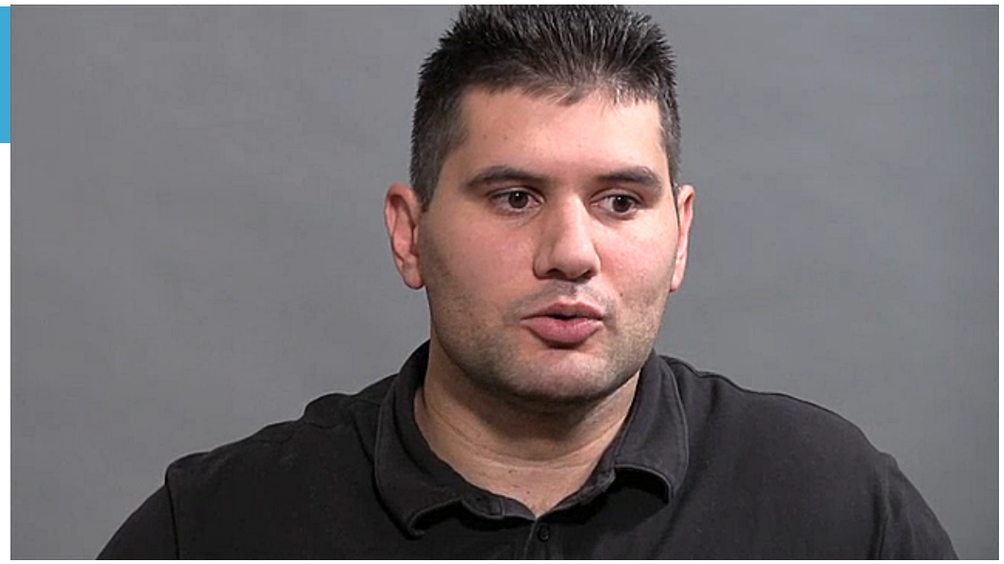

## Żyję tak, jak chcę

Mam 32 lata, w 1989 roku miałem 7 lat. W 1987 roku wyprowadziliśmy się do Niemiec, byliśmy za granicą trzy lata, a potem wróciliśmy. Już wtedy rozumiałem tę drastyczną zmianę przed i po wyjeździe. Pamiętam takie rzeczy, które dzisiaj są śmieszne: pomarańcze, banany – tego wtedy nie było, tylko na święta, albo jak ktoś wracał z zagranicy.

Chodziłem do zawodówki, technikum zawodowego, studiowałem psychologię, której, niestety, nie skończyłem. Pracowałem ze starszym bratem i z kuzynem jako asystent edukacji romskiej, otworzyliśmy stowarzyszenie, które teraz prężnie rozbudowuje ciocia Adela Głowacka. Mnie znowu przywiodło do Niemiec, żyję i pracuję tam w swoim

zawodzie. Doczekałem się dwóch córek i je wychowuję, moja żona jest Romką pochodzącą z Polski, z Gorzowa, ale cała jej rodzina mieszka w Niemczech. Większość Romów czuje potrzebę bycia w większym gronie – sam bym tam nie wytrzymał. Teraz jest całkiem inaczej, kiedyś było ciężko wrócić, to była długa podróż, a teraz to jest tak, jakbym jechał do innego miasta.

Romowie cały czas gdzieś wędrują, nawet teraz, kiedy mają swoje domy. Widać na moim przykładzie – myślałem, że jestem takim Romem stacjonarnym. Romowie kiedyś jeździli taborami, teraz jeżdżą campingami lub wozami, jest to związane z poprawą bytu. Myślę, że dla Romów odległości nie są takie straszne jak dla innych ludzi.

Wolność dla każdego jest czymś innym. Dla mnie jest byciem wolnym od zakazów. Mogę sam wybierać: robię coś albo nie, przeprowadzam się tu albo tam, wybieram szkołę albo życie tradycyjne. Nikt mi nie narzuca niczego. Taka wolność dla mnie jest czymś, co miałem i mam zawsze, nigdy mi jej nie brakowało. Czuję się wolny, niczym nieograniczony. Jestem wychowany w romskiej tradycji, ale nie czuję żadnych zakazów – normy romskie nie ograniczają mnie w żaden sposób. Chociaż uznaję, że normy, które wszystko regulują, to ostoja „cygańskości". Więc potwierdzam: powinny być normy i zakazy.

Cieszę się, że urodziłem się Romem, i nie wyobrażam sobie, żebym był kimś innym. Myślę, że każdy, kto żyje zgodnie ze swoją ideologią, jest wolny.

Sonia **Styrkacz**
Romka

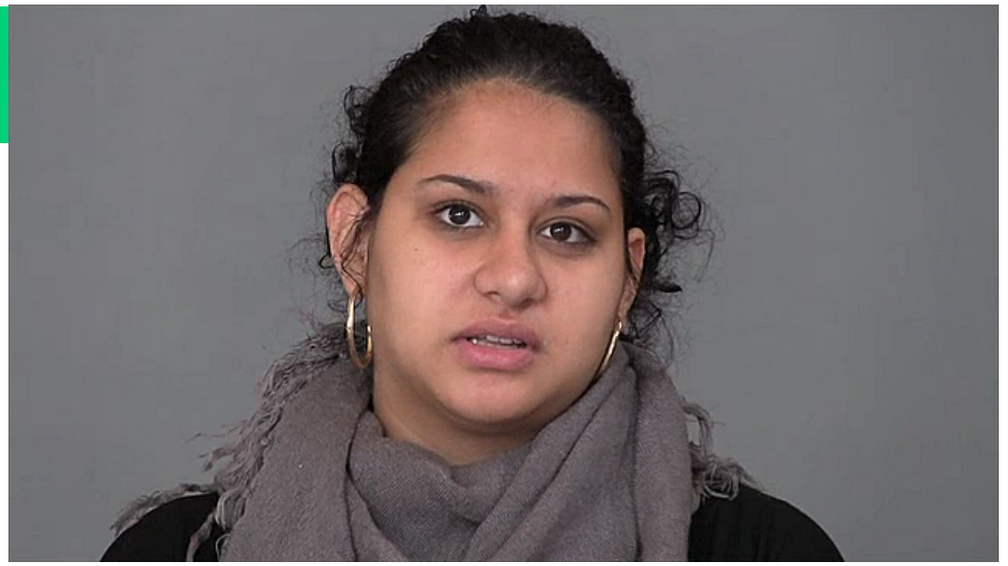

## Wolności chce się więcej, i więcej

Urodziłam się w Chorzowie, mam 24 lata. Jestem studentką psychologii w Katowicach, pochodzę z grupy Romów Bergitka, pracuję w świetlicy z dzieciakami. Planuję pójść na studia doktoranckie, interesuję się psychologią społeczną.

Moja babcia żyła jeszcze w czasach taborowych, więc miała zasady – mocno odbiły się na mojej mamie. Ale mama wobec mnie już nie była taka twarda. Mogłam decydować o sobie, nie narzucano mi restrykcyjnych zasad. Czułam się wolna, mogłam decydować, z kim chcę być, spotykać się, gdzie chcę studiować i co chcę robić.

Teraz wiele młodych osób pochodzenia romskiego nie ma już problemów, jakie miały moja mama czy babcia – i dobrze.

Jesteśmy zasymilowani i widać tę asymilację w zachowaniu młodych ludzi. Kiedyś elementem tradycji były swaty, dzisiaj od tego się odbiega – młodzi poznają się przez serwisy społecznościowe. Tradycja zanika, to jest nieuniknione i ten proces będzie trwał. A w jakim kierunku pójdzie? Czy zgubimy swoją tożsamość? Jak będziemy się identyfikować? Ważna jest pamięć. Bo dla mnie być Romką oznacza pamiętać o historii Romów, pamiętać dziadków i nieść tę pamięć w przyszłość.

Czuję się wolna. Chociaż uważam, że wolności nie może być zbyt dużo, bo wtedy człowiek nie wie, co zrobić. Moja babcia też czuła się wolna, chociaż miała więcej ograniczeń niż ja obecnie. I czuła swoją wolność, dopóki nie zetknęła się ze światem zewnętrznym – wtedy zobaczyła, że ludzie mają więcej wolności, i też zapragnęła mieć jej więcej.

Człowiek czuje się wolny, dopóki nie zobaczy, że druga osoba ma więcej wolności.

Józef **Merstein Jochymczyk**
Rom

## Po prostu wsiadam i jadę

Mam 54 lata, w 1989 roku miałem 29. W tym ciężkim, totalitarnym czasie przed 1989 rokiem byłem muzykiem. Chodziłem do średniej szkoły muzycznej, grałem na wiolonczeli i gitarze. Moi profesorowie mieli kontakty, grali za granicą, na statkach. Już na pierwszym roku zostałem zwerbowany do takiej kapeli i miałem wyjechać do Jugosławii, tylko że to był stan wojenny. W 1982 roku trudno było dostać paszport. Nasz dzielnicowy chciał ze mnie zrobić donosiciela. Straszył, że jak się nie zgodzę, to paszportu nie dostanę – będę tu siedział i nigdzie nie wyjadę, nie będę pracował… Trzeba więc było załatwić sprawę przez znajomości z tymi, którzy mieli nad nim władzę, żeby go

uspokoili. Wyjechałem więc, i tak to się zaczęło. Dzięki pośrednictwu Polskiej Agencji Artystycznej „PAGART" grałem w Jugosławii, Niemczech, Austrii. Kontrakty trwały trzy albo sześć miesięcy, czasem rok, potem wpadałem na miesiąc-dwa do Polski – i znowu wyjeżdżałem. I tak przez całe lata, do 1989 roku.

Wyjeżdżałem, ale żarła mnie nostalgia. Tęskniłem za Polską, bo tu się urodziłem, wychowałem, tu miałem najbliższych, żonę, dzieci, matkę, braci, siostrę. Ale jak wracałem, to uderzała szarość, smutne twarze ludzi. Na Zachodzie czy w Jugosławii było zupełnie inaczej, graliśmy dla turystów z całego świata – taki baśniowy świat. Między Polską a tamtymi krajami była ogromna przepaść, jak między niebem a ziemią.

W 1989 roku graliśmy nawet na czterdziestoleciu Niemieckiej Republiki Demokratycznej. PAGART wysłał nas w kwietniu i byliśmy chyba przez miesiąc w Berlinie, w Poczdamie. Były tam zespoły z wszystkich krajów europejskich: z Bułgarii, z Czech, z Polski, z NRD. Wielka fiesta. A w listopadzie mur już był rozbity, już było po komunie, zaczął się exodus Niemców enerdowskich na Wschód i na Zachód. A w kwietniu jeszcze chodziłem na tę wieżę telewizyjną, bo jadałem tam w restauracji, i ciągle widziałem mur.

Na Boże Narodzenie wróciłem do Polski. Początek 1990 roku był straszny. Nic nie było w sklepach, straszna dewaluacja. Ale Romowie zawsze byli przedsiębiorczy, dawali sobie radę. A otworzyły się nowe możliwości. Założyłem agencję artystyczną, sam prowadziłem zespół do 1992 roku i zacząłem grać imprezy w Polsce, we wszystkich klubach nocnych. Nawet po weselach…

Teraz, jak się zjeżdża np. z Niemiec do Polski, to nie ma już tej różnicy, nie da się jej gołym okiem ocenić. Problem w tym, że młodzi ludzie nie mają pracy. Córka skończyła liceum, wyszła za mąż, ma dzieci, ale ciężko było tutaj znaleźć pracę i musiała wyemigrować do Wielkiej Brytanii. Najpierw była w Niemczech, potem pojechała do Wielkiej Brytanii i tam już jest praktycznie na stałe. Oboje z zięciem mają pracę, dzieci chodzą do szkoły. Dziesięć lat minęło, już się tam zadomowili. Przykro mi, że nie w Polsce. Może kiedyś wrócą? Nie wiem. Bardzo bym chciał.

A wolność? Ja czuję się wolny. W każdej chwili mogę wyjechać – jak chcę do Londynu, do dzieci, to po prostu wsiadam i jadę. Nie ma takiego problemu jak dawniej, że trzeba było wnioski składać przez znajomości, tragedia. Teraz jest całkowity luz. Chcę kupić cokolwiek, to po prostu kupuję. No, trzeba tylko mieć pieniądze. Ale na to, by je zarobić, każdy ma swój sposób. Ja jestem muzykiem. Nie jestem stary, mogę jeszcze grać. A nawet jak już będę stary, i tak będę grał. Do samego końca.

Edward **Dębicki**
Rom

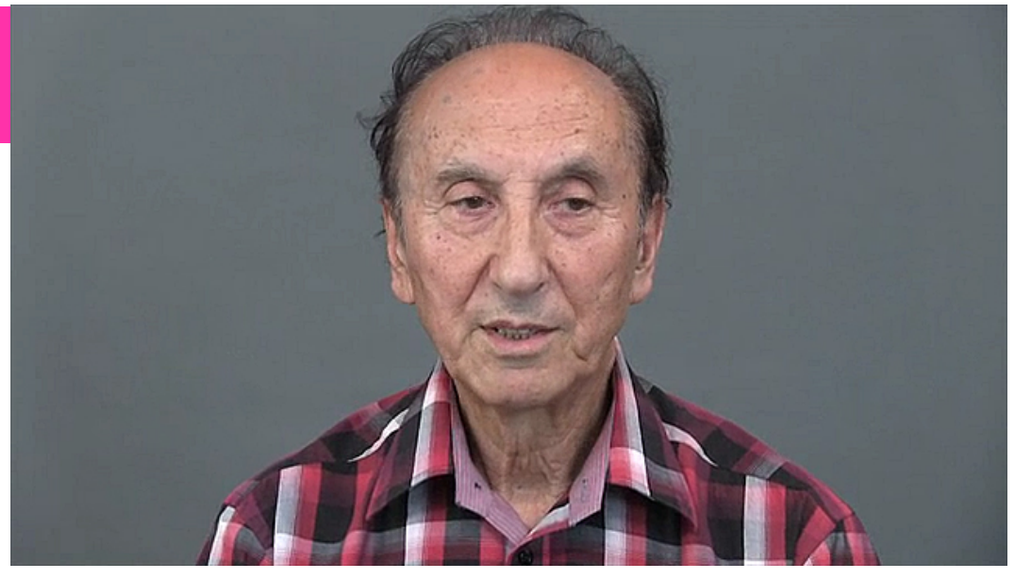

## Nade mną tylko Bóg

Urodziłem się w 1935 roku. W 1989 roku miałem 54 lata. Komunistyczną Polskę pamiętam negatywnie – chodzi o moje pochodzenie. Wtedy Romowie byli traktowani jak podludzie, na każdym kroku odczuwało się przykrość i psychiczną niedolę. Nie byliśmy szanowani na równi z innymi, jedynie dostęp do pracy mieliśmy równy, bo nas potrzebowali. Ale nie patrzono na nas dobrotliwym okiem. Pamiętam, że bardzo chciałem się uczyć w szkole muzycznej – jak przyszedłem na pierwszą lekcję, to wszystkie oczy były skierowane na mnie; czułem się jak wilk z lasu i nie wiedziałem, co ze sobą zrobić. Nauczycielka zapytała, czy się

nie boję siedzieć w klasie. Spytałem: dlaczego? A ona na to, że jestem przyzwyczajony do podróży i przestrzeni, a tu przecież jestem zamknięty w pomieszczeniu. „Cyganie – powiedziała, bo wtedy tak się o nas mówiło – nie lubią takich miejsc jak szkoła". „Przyzwyczaję się" – odpowiedziałem. Najgorsze jednak było, jak nauczycielka zapytała dzieci w klasie, czy nie boją się mnie – Cygana. Niektórzy odpowiedzieli, że nie, inni, że się boją, ale powiedzieli również, że boją się tego, że na przerwie ich kieszenie będą puste...
Poleciałem do domu i powiedziałem ojcu, że nie będę chodził do tej klasy, bo las i przyroda są nam bardziej sprzyjające niż wykształceni ludzie. Później dyrektor przyszedł do nas, powiedział, że więcej takich pytań nie będzie i żebym wrócił do szkoły. Potem już było dobrze, po pół roku miałem kolegów i byłem traktowany jak inni.
Kiedy miałem dwanaście lat, milicjanci zabrali nas do Wałcza i tam katowali nas przez dwadzieścia cztery godziny. Potem nas wypuścili i słowa nie powiedzieli, za co to wszystko. Jak nas zabierali, to moja matka krzyczała: „To dziecko jeszcze, nie mężczyzna i trzeba go inaczej traktować!". Popchnęli matkę, upadła – krzyczała, że są gorsi od esesmanów, od Niemców. Były różne przykre zdarzenia, ale byliśmy przyzwyczajeni, bo spotykało nas to na każdym kroku. Traktowaliśmy to jak regułę, że musi tak być.
Nastała wolność, demokracja i każdy człowiek mógł sobie wolnościowe słowa wypowiadać
– zapamiętałem to, bo szczególnie ja i moi pobratymcy poczuliśmy wolność, przestrzeń.
Nie czuliśmy się już zaszczuci, zamknięci pod naciskiem.
Dla mnie wolność – i przypuszczam, że dla każdego człowieka – to jest swoboda, nieskrępowanie. Nad sobą mam tylko Boga, który reguluje cały świat, a ja jestem wolnym człowiekiem.

# *Przesilenie*

Z tolerancją w Europie jest jak z kamieniem
Syzyfa – teraz ten kamień wali w dół.
Co to znaczy? To, że znowu będziemy go pchać
w górę – mówi **Adam Michnik** w rozmowie
z Joanną Talewicz-Kwiatkowską i Piotrem Wójcikiem

**Testem na tolerancję i wartości demokratyczne w Polsce jest stosunek do mniejszości – napisał Pan w „Gazecie Wyborczej" w 1991 roku po pogromie Romów w Mławie. Minęło prawie ćwierć wieku - zdaliśmy ten test?**

– Pytanie do radia Erewań: „Czy w komunizmie będą pieniądze?". Odpowiedź: „Dogmatycy mówią, że ich nie będzie, rewizjoniści mówią, że będą, a my odpowiadamy: u jednych będą, a u drugich nie". To jest odpowiedź i na pani pytanie. Polska jest niezwykle spolaryzowanym i skonfliktowanym krajem, a kwestia tolerancji to jeden z elementów tej polaryzacji. Po stronie, nazwijmy to, tej Polski proeuropejskiej, którą ja nazywam demokratyczną i tolerancyjną, niewątpliwie narasta świadomość potrzeby ochrony praw rozmaitych mniejszości: etnicznych, religijnych, obyczajowych, homoseksualnych i tak dalej. Jednocześnie obserwujemy radykalizację po stronie – jak ja to określam – partii strachu, która boi się Europy, mniejszości, tolerancji, wolności. I nie jest to wyłącznie polski fenomen. Mamy teraz bez wątpienia trudny czas w całej Europie. Czas przesilenia.

## Nie budźmy demonów!

**Jak to – w Europie Zachodniej, tej od dawna oswojonej ze swoją wielokulturowością?**

– Kultura multi-kulti jest bardzo silna. Ale nawet w Stanach Zjednoczonych, które przecież z definicji są krajem

multikulturalnym, ten problem buzuje. Co się dzieje? Dlaczego? Oczywiście, socjologowie mają dziesiątki odpowiedzi. Ja jednej prostej nie mam. Myślę czasem, że to jest jak z mitem Syzyfa, który pcha w górę kamień, a on i tak spada. Teraz jest ten moment, kiedy kamień wali w dół. To znaczy, że potem będziemy znowu pchali go pod górę. I to jest taka niekończąca się droga.

**Chce Pan powiedzieć, że nigdy nie nastąpi ten moment, kiedy – różniąc się – będziemy żyć w zgodzie?**

– Gdy widzę te niepokoje, które wstrząsają krajami wielokulturowymi, to mam wątpliwości.

**A przyczyna? Może problemy społeczne biorą się z kryzysu ekonomicznego? Trzeba przecież znaleźć kozła ofiarnego – dziś są nim imigranci, Romowie, kiedyś byli Żydzi. Ale kryzys się skończy…**

– …i skończy się etniczna nietolerancja? To zbyt proste. Oczywiście, między sytuacją społeczną a nienawiścią można znaleźć – Hannah Arendt próbowała to robić w swojej książce o totalitaryzmie – ale nie da się go wytłumaczyć. Przecież mogę mieć bardzo dobrą sytuację materialną, ale jak jakiś Czeczeniec odbije mi dziewczynę, to go zadźgam i będę sobie do tego dorabiał sto ideologii: że był muzułmaninem, że był Czeczeńcem właśnie, i tak dalej. Jest coś chyba takiego w naturze ludzkiej, co każe być permanentnie wyczulonym na ten typ zagrożeń. Moi koledzy bardzo często mi zarzucali, że ja mam nadwrażliwość na nietolerancję i że ją widzę tam, gdzie jej wcale nie ma. Być może mają rację, nie wiem. Oni tę nadwrażliwość wiązali z 1968 rokiem, a mówili mi to w 1989 roku. A ja wtedy odpowiadałem: słuchajcie, po co wracać do 1968 roku? Patrzcie, co się dzieje dzisiaj. Na Kaukazie – pogromy Ormian w Sumgaicie i w Baku, tu, w Europie – patrzcie na Rostock, Hoyerswerdę, gdzie płoną domy dla azylantów. Patrzcie na Jugosławię, na rumuńską Timişoarę, gdzie wybuchła agresja przeciw węgierskiemu pastorowi, na rozlatującą się Czechosłowację. To nie 1968 rok, wystarczy zobaczyć, co się teraz dzieje. Ja zawsze bałem się, że i w Polsce te demony są, tyle że uśpione. Ale zawsze mogą się obudzić. Jak np. w roku 1990, gdy w wyborach prezydenckich nagle 23 procent społeczeństwa głosuje na Tymińskiego
- faceta znikąd. 23 procent! Czyli prawie co czwarty głosujący chciał oddać Polskę w ręce jakiegoś szamana z Peru. Gdy rozum zasypia, budzą się demony, upiory. A ja wiem, że on co jakiś czas zasypia i te upiory się budzą i dlatego, jak mówię, naszą powinnością – nas, ludzi kultury, nauki, mediów – jest permanentna wrażliwość i obowiązek przestrzegania przed niebezpieczeństwami płynącymi z nienawiści. Należy

uświadamiać to ludziom. Nie wolno lekceważyć żadnych objawów. Sumienie należy mieć czyste.

**O reakcję i zajęcie stanowiska po pogromie w Mławie apelował Pan do intelektualistów, polityków, władz, Kościoła…**

– Wtedy bardzo mnie skrytykował w prywatnej rozmowie ówczesny radomski biskup, powiedział: „Co pan napisał, pan się nie orientuje w sytuacji. Nie było żadnego pogromu, tylko dwa gangi złodziei samochodów się pokłóciły". Odpowiedziałem mu wówczas: księże biskupie, skoro demolują i rabują sklepy i domy, to ja nazywam to pogromem. To nie jest walka dwóch gangów na ulicy, to jest pogrom.

Oprócz Pana nie zareagował nikt.

– Ficowski reagował.

Ale politycy milczeli.

– W sejmie mnie nawet zaatakowali moi koledzy z OKP. Mówili, że ja się nie orientuję, że oni protestują, bo to jest rzucanie stygmatu na mieszkańców Mławy. Nie pierwszy raz dostałem wtedy w skórę i na pewno nie ostatni.

**Wielu się dziwiło i oburzało Pana reakcją, szczególnie że chodziło o Cyganów, którzy i wtedy nie cieszyli się zbytnią sympatią.**

– Tym większy obowiązek czułem. Kiedyś napisałem w „Gazecie" króciusieńko, dwa akapity, minirecenzję programu telewizyjnego właśnie o Romach. Pochwaliłem go. Koledzy napadli wręcz na mnie: „A co ty piszesz, podlizujesz się szefowi telewizji?". A ja na to: nie, ja się nie podlizuję Robertowi [ówczesnym szefem TVP był Robert Kwiatkowski - przyp. red.], tylko uważam, że Romowie to jest ta grupa, której nikt nie broni. Współcześnie owszem, można być antysemitą, ale nie wypada, bo to źle widziane jest. Oczywiście, są ludzie zbzikowani, ale w zasadzie jeśli ktoś źle myśli o Żydach, to niech myśli, ale lepiej tego na głos nie mówić – bo to jest źle widziane. Za to z Romami wolno wszystko! I to wydało mi się właśnie oburzające i po prostu obrzydliwe.

**Romów dziś można kopać, bo Żydów już nie wypada?**

– Tak to wtedy tłumaczyłem moim kolegom. Romowie to są Żydzi dzisiejszej Europy. Te deportacje Romów we Francji… To, co zrobił i mówił wtedy Sarkozy, było skandaliczne. A tymczasem ludzie – zdawałoby się – światli, humaniści, wcale nie byli zgorszeni. Zdumiewające. To milczące przyzwolenie na to, co dzieje się dziś z Romami, oburza mnie.

# Nie zatruwajmy demokracji!

**Mieliśmy pogrom w Mławie prawie ćwierć wieku temu, teraz mamy rok 2014 i serię bardzo negatywnych artykułów i programów dotyczących choćby Romów we Wrocławiu.**

– To okropne, ale bardziej skomplikowane. Coś się tam złego dzieje. Przecież prezydent Wrocławia to światły człowiek, znam go dość dobrze. On na pewno nie ma złych intencji wobec Romów. No i jeszcze jedno: przecież Wrocław ma opinię miasta tolerancyjnego.

**Wrocław – miasto spotkań…**

– Jak się okazuje, nie dla wszystkich. Nie potrafię do końca zrozumieć,
z czym to się wiąże. Rozumiem, że można zazdrościć komuś, kto jest bogaty. Ale akurat Romowie w Polsce to nie jest symbol bogactwa.

**Wręcz przeciwnie.**

– Raczej biedy. Są i zamożni Romowie, jak wszędzie. Ale Romowie nie dominują w adwokaturze czy medycynie. To skąd ta agresja? Z powodu odmienności? Bo Romowie to inny sposób życia? Inna kultura? Język, obyczaje, inna zbiorowa pamięć? Coś złego się dzieje i to powinno być tematem rozważanym w Unii Europejskiej.

**Coraz więcej jest populizmu, a popularność zyskują ci politycy, którzy się Romów pozbywają, jak we Wrocławiu czy Francji.**

– Każdy, kto ma władzę, czy to w państwie, czy to w mieście, chce sytuacji konfliktowych unikać – to jest banał. Nawet Jacek Kuroń, który był święty w tych sprawach, zapewne też by się starał tak robić, żeby nie iść na czołowe zderzenie. Dutkiewicz ma poglądy konserwatywne, ale to jest konserwatyzm bardzo światły, powiedziałbym: chrześcijański, więc tam nie ma miejsca na rasizm, na faszyzm, absolutnie nie.

**Podczas jednej z debat rozmawiałam z przedstawicielem prezydenta Wrocławia. Dyskutowaliśmy o tym, jak tę patową sytuację rozwiązać. Usłyszałam, że miasto nie chce konfliktu i nie chce nikogo wykluczać, dyskryminować. Niemniej jednak oddało sprawę do sądu i żąda eksmisji Romów. A co dalej? Na to nie było pomysłu. A przecież ci ludzie pewnie przeniosą się na inne miejsce i będzie trzeba złożyć nowy pozew. Takie rozwiązania eskalują więc tylko konflikt, a lokalna społeczność czuje,**

**że ma władzę po swojej stronie. Być może zostały zniszczone kontenery, do których mieli być przeniesieni Romowie. Można rozbić ludziom domy, bo takie są normy. Władza może, to i my możemy.**

– To jest cholernie niebezpieczne. I to nie tylko dla Romów. To jest niebezpieczne dla nas wszystkich, dla Polaków. Dlatego że w polskiej duszy rodzi się w ten sposób coś bardzo złego, co może zatruć całe państwo demokratyczne. Straszne jest patrzeć na marsz narodowców w Warszawie. Straszne jest widzieć palenie tęczy na placu Zbawiciela. Ale, niestety, te tendencje w Polsce są żywe. Dowodem na to są choćby głosy na Korwin-Mikkego. Jacek Żakowski napisał taki przewrotny esej: Dlaczego młodym ludziom podoba się Korwin-Mikke? Na naszych oczach rodzi się zjawisko cholernie niebezpieczne. Kiedy Kaczyński wziął do rządu Leppera i Ligę Polskich Rodzin, otworzył bramę dla tego typu myślenia. Można powiedzieć, że wyhodowaliśmy sobie na piersi tego zdziczałego chuligana, który jest do użycia w sytuacjach różnych. Pani wspomniała o mechanizmie kozła ofiarnego. Przed wojną profesor Stefan Czarnowski napisał o nim artykuł, który przedrukowaliśmy w „Gazecie", nosił on tytuł „Ludzie zbędni w służbie przemocy". To było zawsze bardzo ważne w myśleniu Leszka Kołakowskiego. On przestrzegał przed motłochem, który korzysta z demokracji, a jednocześnie potrafi ją zniszczyć, zdeprawować i doprowadzić do jej krachu. Więc musimy być superczujni.

Aczkolwiek ja uważam te 25 lat za kolosalny sukces, to się Polakom udało jak nikomu innemu. Zawsze powtarzam, że tylko dwie generacje w XX wieku mogą mówić o tego typu cudzie: generacja legionistów Piłsudskiego i my. Bo zaczynać właściwie od zera i dojść do takiego rezultatu to prawdziwy cud. Z drugiej strony… kiedy ja dorastałem, nie było żadnym cudem to, że już nie ma łapanek na ulicach i egzekucji i Polaków już się nie wywozi do Auschwitz. Tak dzisiaj dla pokolenia mojego syna czy dla pani to nie jest żadnym cudem, że komunizmu już nie ma. Rzeczą niezwykle ważną jest mieć świadomość, że to, co mamy, choć jest dalece niedoskonałe, to nie jest nam dane raz na zawsze.

Chcielibyśmy, żeby było lepiej. Dlatego boli mnie bardzo, że Kościół katolicki prowadzi wojnę z gender, a nie zajmuje się nietolerancją wobec słabszych. Że dzielnie walczy o istnienie dzieci nienarodzonych, a narodzone dzieci, choćby romskie, go nie interesują. To oczywiście jest problem, ale dla mnie istota jest taka, że jeżeli my nie będziemy reagować teraz, póki jeszcze możemy i póki nasz głos ma jakieś znaczenie, to ten wzór brutalny i nietolerancyjny może się rozprzestrzenić i zwyciężyć.

## Nie pomiatajmy innymi!

**Mówi Pan o sukcesie, z którym niewątpliwie mieliśmy i mamy do czynienia po 1989 roku. Ja jednak mam poczucie, że mentalnie stanęliśmy w miejscu.**

– To jest jeszcze co innego: pani mówi o naturze ludzkiej. W tym sensie to my od czasów Starego Testamentu nie mamy do czynienia z jakimś postępem mentalnym. Ale jeśli chodzi o stosunek do mniejszości, to w porównaniu z tym, co było, jest ogromny progres. Polska przede wszystkim przestała być krajem zamkniętym. Jeżeli więc jedziemy za granicę – a jeździmy dużo i często, oglądamy, jak żyją inni – to siłą rzeczy uświadamiamy sobie, że jesteśmy różni. Jeżeli więc ja nie chcę, żeby mną pomiatano w Londynie, to będę ostrożny z pomiataniem innymi we Wrocławiu.

**Chciałabym, żeby tak było. W brytyjskiej prasie czytamy straszne rzeczy o Polakach. Badania mówią, że nawet jest określenie na polskich mężczyzn – już nie pijaki, ale zmywaki. A kobiety z Polski to te, dla których jedyną szansą awansu społecznego jest wyjście za mąż za Brytyjczyka.**
**Polacy, którzy tam mieszkają, wiedzą, jak ciężko jest zmienić ogólne postrzeganie grupy, będąc w mniejszości.**

**Z drugiej strony, kiedy w mediach pojawiają się negatywne doniesienia dotyczące Romów, to tylko utwierdza w przekonaniu, że wszelkie cechy im przypisywane są faktem, że przecież oni wszyscy tacy są.**

– Na szczęście mamy film o Papuszy czy książkę Sławomira Kapralskiego „Naród z popiołów". Jest jakaś przeciwwaga. Dawniej jej nie było, przynajmniej na taką skalę. Były książki Jerzego Ficowskiego i nic poza tym. Więc coś się jednak zmienia. Tylko ta polaryzacja jest problemem. Z jednej strony Lidia Ostałowska czy Kapralski, pismo „Dialog-Pheniben" czy „Gazeta Wyborcza", w której nie ma przyzwolenia na nietolerancję, a z drugiej strony ta cała reszta.

**„Gazeta Wyborcza" zareagowała na ksenofobiczne artykuły o Romach publikowane w „Gazecie Wrocławskiej".**
**To nie było posunięcie przysparzające popularności.**

– Ja bym się nie zgodził z panią. Dlatego że dla naszego targetu to jest popularne właśnie. Nasi czytelnicy za to nas szanują.

## Nie przyzwalajmy na zło!

**Wróćmy do Syzyfa. Kula toczy się w dół - co będzie, jak spadnie?**

– Dobre pytanie... Nie wiem. Wiem, że spada, widzę to.
Nie dotyczy to wyłącznie Polski, a całej Europy. Pamiętam początek roku 1990. Był chyba kwiecień. Vaclav Havel zorganizował w Bratysławie międzynarodowe spotkanie elit politycznych i kulturalnych. Wieczorem wybrałem się na spacer z moim kolegą z Karty 77. Coś się wtedy działo na ulicach. Pełno ludzi było, a ja poczułem niepokój. Zapytałem go: co się dzieje? A on na to: „To tacy nacjonaliści słowaccy domagają się osobnego słowackiego państwa. Adam, to jest bez znaczenia – folklor". Po półtora roku Czechosłowacja przestała istnieć. To jest ten rodzaj choroby, która się potrafi rozprzestrzenić w organizmie błyskawicznie. Aleksandrowi Litwinience nalali trucizny do herbaty i w kilka tygodni człowieka nie było już wśród żywych.

**A więc mamy ten spadający kamień – nie wiemy, gdzie się zatrzyma, ale musimy reagować?**
– Poproszono mnie, bym napisał apel do naczelnych redaktorów europejskich w sprawie Ukrainy. Chodziło o to, żeby wyrazić brak przyzwolenia dla działań Putina. Napisałem i usłyszałem: „To się bardzo wszystkim podoba. Wszyscy chcą wydrukować to co napisałeś, ale nikt się podpisać nie chce". I to jest ta druga twarz Europy: leniwe przyzwolenie.

**Paradoksalnie państwem, którego władze zareagowały na nietolerancję wobec Romów, była ostatnio Francja. Chodzi o sytuację, kiedy romską dziewczynkę zabrano ze szkolnego autobusu, by deportować ją do Kosowa. Głos w sprawie zabrał sam prezydent Francji.**
– Hollande jest socjalistą. To byłby koniec świata, gdyby lewicowy prezydent Francji się na taką deportację godził. Ale myślę, że z Hollande'em jest trochę jak ze mną. Zyskuję popularność wśród moich czytelników dlatego, że bronię Ukraińców, Romów czy Litwinów. Ale jest druga grupa, ta, która głosuje nie na Hollande'a, tylko na Marine Le Pen.

**Celowo użyłam słowa „paradoksalnie", bo to przecież Francja organizowała deportacje dla Romów, działając wbrew prawom człowieka. To ten sam kraj.**
– Ale z innym prezydentem. Sarkozy nie jest Francuzem. W jego żyłach płynie krew węgierska i żydowska. Prawa człowieka to on powinien rozumieć najlepiej. Ale prawda jest taka, że jak chcesz być dobry Polak, to musisz być antysemitą, jak nie jesteś dobry Polak, który by się nazywał Potocki czy Czartoryski, czy Koniecpolski, jak nie jesteś antysemitą chociaż troszkę, to już dobrym czy prawdziwym Polakiem nie jesteś.

**Polska to kraj z trudną historią i skomplikowaną teraźniejszością. Czy możliwe jest zatem, by czuć się tu dobrze? By być wolnym człowiekiem?**

– Może pani przeczyta moje teksty pisane w więzieniu. To są teksty człowieka wolnego. Może są złe, może są nic nie warte, ale ich autorem nie jest ktoś, kto czuje się zniewolony. Ja się śmiałem, że więzienie jest dobrą rzeczą, bo to jest to miejsce, gdzie nie mogą przyjść, żeby mnie aresztować. Tak, ja się czuję wolny. Mnie się bardzo wiele rzeczy w Polsce nie podoba, ale ja uważam, że każdy, kto chce być wolnym, ma możliwość bycia wolnym. Tylko trzeba tego chcieć. Bo wolność, pani Asiu, to tyle, co umiejętność odróżniania dobra od zła. To jest wolność.

Joanna Talewicz-Kwiatkowska i PiotrWójcik

Copyright by Dialog-Pheniben

Patronat Prezydenta RP Bronisława Komorowskiego

Wydawcy:

Narodowe Centrum Kultury
ul. Płocka 13
01-231 Warszawa
www.nck.pl

Fundacja Picture Doc
www.picture-doc.org
info@picture-doc.org

Projekt graficzny: Dominique Roynette / Picture Doc
Redakcja: Dariusz Fedor
Korekta: Grażyna Kwiek
Koordynacja: Ewa Paderewska
Montaż wideo: Monika Proba
PDF multimedialny: Cezary Jaworski / Luckyman

© copyright by Narodowe Centrum Kultury
© copyright by Fundacja Picture Doc
© copyright by Piotr Wójcik
© copyright by Dialog-Pheniben

Warszawa 2014